TOMASZ MANN.

FIORENZA

Tłómaczył z upoważnieniem autora

Dr. MARYAN HENZEL.

830-23

06693

Brody 1907. Nakładem i drukiem Feliksa Westa.
Warszawa. E. Wende i Spółka.

BIBLIOTEKA PUBLICZNA M. ST. WARSZAWY
1907
Księga
Nr. inw. Z 1422

Czas: 8. kwietnia 1492. popołudniu.
Miejsce: Willa Medyceuszów w Careggi koło Florencyi.

AKT PIERWSZY.

Pracownia kardynała Giovanniego. Zaciszny pokój na górnem piętrze willi. Na ścianach dywany, pomiędzy nimi wpuszczane w mur szafy na książki, zapełnione z rzadka foliałami i zwojami manuskryptów. Wysokie okna z szerokiemi ławkami. W głębi w środku wejście, przysłonięte gobelinem. Z boku z lewej stół okryty ciężkim brokatem, na nim kałamarz, pióra i papier. Przed nim fotel z wysokiem oparciem. Z przodu z prawej sofa ozdobna herbem Medyceuszów (kule), o nią oparta lutnia. Na ścianie po prawej wielki obraz mitologiczny. Pod nim półka z artystycznemi naczyniami.

I.

Na sofie po prawej siedzi młody, 17-letni kardynał Giovanni w czerwonej czapeczce, białym szerokim kołnierzu i czerwonej pelerynce. Oblicze miękkie, piękne, jowialne. Obok na krześle ANGELO POLIZIANO, w długiej, ciemnej, fałdzistej szacie z bufiastymi rękawami, zamkniętej koło szyi wązkim, białym kołnierzem stojącym. Twarz jego, okolona siwiejącemi lokami, mądra i zmysłowa, o wielkim, zakrzywionym nosie i ustach otoczonych zmarszczkami, zwrócona ku kardynałowi, który mając krótki wzrok bawi się składanem lorgnon. Na dywanie przed nimi porozkładane książki, niektóre otwarte. Jedną trzyma POLIZIANO w ręku.

POLIZIANO:... wracam tu, przyjacielu mój Giovanni, synu wielkiego, ukochanego druha mego Laurencyusza — do dawnej nadziei, tak słusznego, uzasadnionego życzenia, z jakiem spogląda ku tobie wraz ze mną świat cały miłujący wiedzę... Nie myśl, bym zapominał o względach winnych twemu wysokiemu stanowisku w świętej hierarchii.

GIOVANNI: Pozwólcie, mistrzu Angelo Czy słyszeliście, co powiedział niedawno w katedrze padre Girolamo, że w hierarchii duchów po najniższym z aniołów idzie zaraz chrześcijański kaznodzieja?

POLIZIANO: Co? co?... Być może... Musiałem słyszeć... Ale dajmy temu pokój. Chciałem ci jasno wykazać, że namiest-

nik Chrystusa, którego tyarę powołanym jesteś nosić kiedyś według przypuszczalnej losów kolei, nie sprzeniewierzy się bynajmniej świętemu urzędowi swemu, spełniając gorące życzenie wszystkich miłośników wiedzy, które mam na myśli. Jak wiesz Giovanni, chodzi tu o kanonizowanie Platona. Boski on i rozum sam nakazuje, Bogiem go uczynić. Czyn tak mądry i wspaniały czeka papieża z olśnionego blaskiem piękna i wiedzy rodu Medyceuszów. Czytają to na niebie astrologowie, zgodne to też z wszelką logiką i prawdopodobieństwem. Sam Chrystus pochwaliłby bez wątpienia kanonizowanie starożytnego filozofa. Przyjście Jego zwiastowane było tylekroć przez Sybille, a odnośnych wierszy Wergiliusza nie potrzebuję chyba przypominać memu uczniowi. Według nieomylnej tradycyi wskazywał na nie wyraźnie sam Plato, a u Porfiryusza czytamy, że i bogowie uznawali niezwykłą pobożność i religijność Nazareńczyka, potwierdzili Jego nieśmiertelność i wydali mu wogóle jak najlepsze świadectwo... Słowem, błagam bogów mój Giovanni, by pozwolili mi dożyć tej chwili, kiedy spełnisz życzenie, które ci zawsze przypominam—chwila ta owocem będzie najpiękniejszym naszych wspólnych studyów platońskich... (Kardynał uśmiecha się) Wolno wiedzieć co cię tak bawi?

GIOVANNI: Ach nic, nic... mistrzu Angelo! Przypomniało mi się tylko, co brat Girolamo powiedział niedawno w katedrze, że w »Dyalogu o miłości« Platona panuje »rozwiązła cnotliwość«. Podobało mi się to bardzo, haha! Ostro powiedziane... ale mniejsza z tem...

POLIZIANO: (po chwili) Dotkniętym się czuję, panie Giovanni, i słusznie. Roztargnionyś dziś popołudniu, jak zresztą i podczas całej lektury i to w wysokim stopniu. Przypisywałem to chwili nieodpowiedniej, niepokojowi i trosce. Dostojny ojciec wasz chory, ciężko chory, drżymy wszyscy o życie jego. Pokładamy jednak nadzieję w kosztownem lekarstwie, które przywiózł mu żyd lekarz z Pawii, sądzę nadto, że właśnie w chwili smutku i nieszczęścia powinna być dla nas filozofia najdzielniejszą i najbardziej pożądaną pocieszycielką. Rozumiałbym mimo to doskonale, gdyby myśl o ojcu odwracała uwagę waszą od studyów. Tymczasem widzę, że to raczej brat Girolamo was tak żywo zajmuje—ten śmieszny klecha.... ta małpa w habicie.

GIOVANNI: Kogóżby on nie zajmował?... Wybaczcie, mistrzu Angelo! Nie gniewajcie się na mnie! Gniew wam nie do twarzy. Powinniście mówić zawsze pięknie, jasno i harmonijnie. Czyż ja was nie kocham? Któż to nauczył się na pamięć wszystkich waszych oktaw i całego poematu o »Winobraniu« w ła-

cińskich heksametrach? Widzicie! Co się tyczy tego Ferraryjczyka, to naprawdę mam ochotę porozmawiać trochę o nim. Musicie przyznać, że bądź co bądź dziwna to postać i zajmująca. Przeorem jest żebraczego zakonu, a te zasługują bez wątpienia na pogardę. Przedmiotem są ogólnego pośmiewiska a i w Rzymie słyszałem często, że kłopot tylko sprawiają kościołowi. A tu zjawia się oto jeden z tych wzgardzonych, wyśmiewanych braci i dziwnym darem swym przezwycięża nie tylko wszystkie przesądy, lecz budzi jeszcze podziw ogólny...

POLIZIANO: Podziw! I któż go podziwia? Nie ja bynajmniej. Motłoch wielbi go jako swego.

GIOVANNI: Nie, nie, mistrzu Angelo, nie ma on nic wspólnego z nimi. Nie tylko dlatego, że pochodzi ze starożytnej poważanej rodziny mieszczańskiej w Ferrarze. Słyszałem go kilka razy w Santa Maria del Fiore i zapewniam was, odniosłem niezwykłe i nadzwyczaj skomplikowane wrażenie. Przyznaję, że brak mu dziwnie wszelkiej ogłady i zgrabności, lecz gdy przypatrzyć się bliżej, wydaje się być nadzwyczaj subtelnej budowy duszy i ciała. Na kazalnicy musi często siadać, tak przejmuje go siła własnego uczucia, mówią też, że po każdem kazaniu zmuszony jest kłaść się z wyczerpania do łóżka. Głos jego dziwnie cichy, wzrok tylko i ruchy nadają mu nieraz pozornie potęgę gromu. Przyznam się... często, gdy jestem sam, biorę do ręki weneckie zwierciadło i próbuję naśladować, jak miota gromy straszne na duchowieństwo (naśladując): »Oto wyciągam dłoń swą, mówi Pan. Do ciebie idę, przedajny, rozwiązły kościele, przeklęty, nikczemny, bezwstydny! Miecz mój uderzy w nepotów twych, gniazdo zgnilizny, rozpustnice twe i pałace, poznasz sprawiedliwość moją...« Tak, tak, ale ja tego nie potrafię. Marnie nawoływałbym do pokuty... Wyśmiałaby mnie tylko Florencya, ta bezczelnica!... A jeszcze trudniej przyszłoby mi przyszłość przepowiadać, mistrzu Angelo, choć kardynałem jestem i papieżem mam zostać, a to tylko biedny mnich żebraczy. Przed rokiem jeszcze przepowiedział rychłą śmierć papieża i ojca mego Magnifika, niech Bóg zachować raczy od spełnienia tej przepowiedni. W istocie: mąż ów życia pełen, który z tak piękną ironią przybrał imię Innocentego, pogrążony od kilku tygodni w głuchej apatyi, tak, że dwór cały ma go często za umarłego; ojciec mój znów tak ciężko chory, że dziś rano opatrzono go już św. Sakramentami. Pokrzepiło go to zdaje się o tyle, że zdobył się potem na żarty na ten temat, co prawda dość słabe. Natomiast...

POLIZIANO: Ojciec twój nadużył trochę karnawału, nic

więcej! Za wesoło bawiono się na zabawach artystycznych a Lorenzo tak gorącym jest wielbicielem piękna i użycia, że zbyt zapomina o swem zdrowiu. Nie odejmuje od ust kielicha rozkoszy i miłości, jak gdyby ciało jego równie niezwyciężone było jak przepiękna dusza. Tak niestety nie jest... Dziecko przewidziećby mogło, że musi go spotkać zato nauczka, a ty przypisujesz to cudom tego mnicha? Daj pokój Giovanni! Naiwnyś chyba bardzo albo zakpić sobie chcesz ze mnie, co prawdopodobniejsze. Chcesz może mówić i o wizyach jego? Dowodzić, że niekiedy otwierają się przed nim niebiosa, słyszy głosy jakieś i widzi spadające miecze, strzały i deszcz ognisty? Przypuszczam nawet, że poczciwy braciszek wierzy sam w swe objawienia i widzenia, przypisuję to śmiesznemu ograniczeniu. Gdyby miał choć trochę więcej wykształcenia, a w zdolnościach swych i studyach choć trochę mniej chaosu i nieporządku, zabrakłoby ich z pewnością...

GIOVANNI: O tem jestem przekonany. Najzupełniejsza prawda. Myśmy zbyt wykształceni i oczytani, by mieć widzenia, a choćbyśmy je i mieli, brakłoby nam z pewnością wiary. Ale powodzenie mu to przynosi, mistrzu Angelo! wielkie powodzenie!

POLIZIANO: Nie można mówić o powodzeniu, gdy ktoś porywa tłum schlebiając jego najniższym instynktom; wstydzićby się przyszło wówczas Florencyi przed Italią całą tryumfów tego wstrętnego klechy. Byłem raz jeden w katedrze na kazaniu tego wysławianego przeora z San Marco i nie pójdę już więcej, na wszystkie gracye, muzy i nimfy! Schlebiałem sobie zawsze, że rozumiem się trochę na wymowie; myliłem się widocznie. Za zaletę kaznodziei uchodziły niegdyś we Florencyi umiarkowane i szlachetne ruchy, słowa i zwroty, znajomość dokładna autorów starożytnych, objawiająca się w artystycznie umieszczanych cytatach, głębokie sentencye, język czysty i zgrabny, głos dźwięczny, wzorowa budowa okresów i harmonijny akcent zgłosek—fraszki to widocznie. W tem raczej szczyt wzniosłości, gdy chorowity barbarzyniec z wzrokiem rozpalonym i gwałtownymi ruchami biada nad upadkiem obyczajów, poniża nauki i sztuki, lży poetów i filozofów, biblię tylko cytuje, jak gdyby nie była napisana najwstrętniejszą łaciną, co więcej, ośmiela się kalać życie i rządy wielkiego Lorenza... (Powstał i chodzi wzburzony po pokoju, kardynał przypatruje mu się z upodobaniem przez lorgnon).

GIOVANNI: Na Pannę najświętszą! Cóż za wspaniałe oburzenie, mistrzu Angelo! Jednostronnością zapatrywań dorównywasz niemal samemu bratu Girolamo! Dalej, dalej! Słucham

z prawdziwą rozkoszą. Jeszcze zgryźliwiej, zgnębij go zupełnie!... »Epikurejskie świnie«, mówił o »świniach Epikurejskich«. A tyczy się to przyjaciół ojca mego, Ficina, Messer Pulci, artystów wszystkich a ci Was prawdopodobnie, ha, ha...

POLIZIANO: Panie kardynale!...

GIOVANNI: No, no! Cóż znowu! Czyż was nie kocham? Macie słuszność... ile chcecie tylko...

POLIZIANO: Nie o słuszność mi chodzi, chciałem powiedzieć tylko, że gardzę tym robakiem, za to, że mieni się posiadać prawdę. Uśmiech jeden, bogowie! Odrobina choćby ukrytej ironii! cień powątpiewania i przewagi okazany ponad głowy tłumu dla porozumienia się z nami wykształconymi — a przebaczyłbym mu wszystko. Tymczasem nic, nic podobnego. Ciemne i głupie potępianie niewiary i niemoralności, drwin, zbrodni, rozkoszy i uciech cielesnych...

GIOVANNI: (zanosząc się od śmiechu): Vaccae pingues... o mój Boże, wiecie, co powiedział o tłustych krowach, pasących się na górach Samaryi? Było to przy objaśnianiu Amona. »Chcecie wiedzieć« mówił »co oznaczają te tłuste krowy? To zalotnice, tysiące tłustych zalotnic włoskich«. Wybornie! Doskonale! Nie przeczcie! Fantazyi trzeba, by wpaść na coś podobnego. Świetny pomysł, bez wątpienia, vaccae pingues! Nie mogę odtąd popatrzeć na żadną tłustą krowę, ażeby nie pomyśleć o tych kobietach, a na żadną kapłankę Wenery, by nie przypomnieć sobie tłustej krowy. Zrobiłem pewne spostrzeżenie: dowcip, porównanie komiczne, to najlepszy środek przeciw żądzom cielesnym. Nie jestem ja żadnym pokutnikiem, prawda? Cieszą mnie posągi, obrazy, budowle, poezya, muzyka i żarty i nie pragnę niczego, jak żyć spokojnie, wesoło, dla tych pięknych rzeczy. Ale często, zapewniam was, niepokoją mnie wśród tego pożądania miłosne. Wyprowadzają mnie z równowagi, psują radość i rozpalają niemile... Lecz do rzeczy! Na Piazza przeszła wczoraj koło mej lektyki ta gruba Penthesilea, co to mieszka koło Porta San Gallo; spojrzałem na nią i zapewniam was, nie uczułem najmniejszego niepokoju. Dostałem tylko takich kurczów ze śmiechu, że musiałem spuścić firanki, Szła zupełnie jak tłusta krowa, pasąca się na górze Samaryi!

POLIZIANO: (nawpół ubawiony) Dziecinnyś mój Giovanni, ze swemi krowami. Donna Penthesilea, to kobieta bardzo piękna, wysokiego humanistycznego i artystycznego wykształcenia. Nie zasługuje wcale na takie porównanie. Cieszy mię zresztą, że bierzesz swego pokutniczego braciszka ze strony komicznej.

GIOVANNI: Mylicie się; bynajmniej! Biorę go najpoważ-

niej w świecie. Czyż mogę inaczej? Sławny to mąż. Kochana Florencya umie, sądzę, zabijać dowcipem swym ludzi, którzy odważą się wystąpić publicznie, nie mając do tego talentu. A on wstrząsnął nią całą. W każdym razie przyznać mu należy niezwykłą religijność i wniknięcie w ideje chrystyanizmu.

POLIZIANO: Ideje chrystyanizmu... to dobre! Gdy się kto niczego nie nauczył, zasłania się wniknięciem w ideje chrystyanizmu, wyższem objawieniem, wewnętrznem poznaniem. Wypiera się starożytnych, nie troszczy się ani o Crassusa, ani o Hortensyusza, ani o Cicerona. Nie jest nawet doktorem teologii, a całą wiedzą świata pomiata. Wie tylko o sobie, siebie jedynie, wyłącznie pragnie, o sobie tylko mówi przy każdej sposobności.—Czasem posługuje się nawet anegdotami z swego życia prywatnego, którym stara się nadać głębsze znaczenie—jakgdyby ktoś wykształcony i z dobrym smakiem chciał przykładać jakąkolwiek wagę do przygód tego puhacza. Przed kilku dniami wpadł mi w ręce w drukarni pana Antonia Miscomini'ego egzemplarz dzieła jego, o miłości Jezusa Chrystusa, które, śmiesznie powiedzieć, w krótkim czasie doszło do siódmego wydania. A że zacny braciszek potępia wspaniały dyalog Platona, ciekaw byłem dowiedzieć się co mówi sam o miłości. Lecz to, co znalazłem, wstrętne było nad wyraz, mój przyjacielu. Pusty, namiętny chaos, niejasnych, upojonych i gorączkowych uczuć, przeczuć i przejściowych stanów duszy, dążących napróżno do uplastycznienia się w słowie. W głowie mi się mąciło, zrobiło słabo. Rozumiem teraz w istocie, że tego rodzaju studya muszą go wyczerpywać, pojmuję doskonale te omdlenia i osłabienia. Zamiast uciekać od zacnych swych rodziców do klasztoru, życia świętego i zatapiać się wśród nagich ścian celi w własnej ponurej duszy, powinien był ten głupiec pouczyć się trochę, wyrobić sobie wzrok na piękno i wspaniałość świata zewnętrznego. Dowiedziałby się wówczas, że tworzenie nie jest męką żadną ni umartwieniem, lecz weselem, że wszystko dobre łatwo i radośnie powstaje. Dramat mój »Orfeusz« napisałem w dniach kilku, a pieśni płyną mi z ust przy winie i zabawach wśród podziwu dla piękna świata tego i nie potrzebuję kłaść się potem do łóżka...

GIOVANNI: Chyba, że wino jest tego powodem!... Tak tak, mistrzu Angelo! Wyście pochodnią stulecia. Któż wam dorówna? Nikt nie patrzy na świat tak pięknie, nikt nie opiewa tak słodko pięknych pacholąt... Poznał to może brat Girolamo, że człowiek ambitny chcąc wam sprostać, na innem nieco stanąć musi stanowisku...

POLIZIANO: Drwisz sobie?

GIOVANNI: Czy ja wiem? Za wiele pytacie. Sam nie wiem nigdy, kiedy drwię, a kiedy mówię poważnie... co tam?

ODŹWIERNY: (podnosząc kotarę przy drzwiach): Książę Mirandola.

GIOVANNI: Pico! Niech wejdzie, prawda, mistrzu Angelo? niech wejdzie. (Odźwierny znika). Pójdźcie ku mnie, nie gniewajcie się! czyż ja was nie kocham? Macie już słuszność, poddaję się, brat Girolamo to nietoperz... jużeście zadowoleni? Trzeba przecie podysputować trochę, nieprawdaż? Gdybyście go byli bronili, byłbym go oczerniał wszelkiemi siłami... Oto Pico! Dzień dobry Pico!

POLIZIANO: Żebyś choć nie był tak miłym urwiszu, możnaby się przynajmniej gniewać na ciebie...

2.

Wchodzi szybko Giovanni Pico della Mirandola, rzuca płaszcz słudze i zbliża się żywo ku przodowi. Młodzieniec otyły, odziany elegancko i swobodnie w szaty jedwabne. Długie, starannie pielęgnowane jasne loki, delikatny nos, kobiece usta i podbródek.

PICO: Jak się ma Magnifico?... Dzień dobry, Vannino! Witam was, panie Angelo!... Ach, ginę z gorąca. Kto mi przyjaciel, panowie, postara się o limonadę, i to zimną, jak wody Kocytu. (Kardynał daje znak Polizianowi, by pozostał, sam idzie pospiesznie ku drzwiom i wydaje tam polecenie). Na Bacchusa! język przyschnął mi do podniebienia. Co za gorący kwiecień! Na San Stefano w Pane już piętnasta a chłodu jeszcze ani śladu. Musicie wiedzieć, że przybywam z Florencyi, pędziłem co koń wyskoczy. Byłem na obiedzie u krewnych waszych, Tornabuonich, Giovanni, i tam się tak zasiedziałem. Przyznać trzeba Tornabuonim, że dobrą mają kuchnię. Był drób tuczony z Francyi, nadzwyczaj delikatne mięso, mój chłopcze: byłbyś się poznał na tem. Tak, tak, życie ma swój urok. A cóż z Lorenzem?... Na prawdę, jak się ma Lorenzo od dziś zrana?

POLIZIANO: Stan jego taki sam, zdaje się, jak zostawiłeś, dostojny Panie. Oczekujemy tu właśnie z kardynałem sprawozdania lekarza o skutkach napoju destylowanego z drogich kamieni, który dał wypić naszemu Panu pan Lazzaro z Pawii. A chcąc skrócić sobie oczekiwanie, zajmowaliśmy się nieco wiedzą, co prawda odwrócił później naszą uwagę pewien niegodny temat... ale mistrz Pierleoni nie doniósł nam dotąd nic nowego. Ach, zaczynam powątpiewać już, dostojny Panie, o cu-

downych własnościach tego wysławianego napoju. Twórca jego opuścił zaraz Careggi otrzymawszy, nawiasem mówiąc, olbrzymie honoraryum, a nas zostawił w oczekiwaniu pomyślnych skutków swego lekarstwa. Oby to tylko nastąpiło! Dostojny, ukochany Panie mój! Czyż na to uratowałem cię przed laty czternastu w katedrze od sztyletów Pazzich, by mi cię teraz wydarła u szczytu chwały zdradziecka choroba? Cóż poczne nieszczęsny, gdy ty zstąpisz do cieniów? Powojem tylko jestem pnącym się około twego drzewa laurowego. Zginąć muszę, gdy ty uschniesz. A Florencya? Cóż stanie się z Florencyą? Kochanka to twoja. Widzę, jak więdnie we wdowiej żałobie.....

PICO: Ależ panie Angelo, to pieśń żałobna, przedwczesna jeszcze. Lorenzo żyje, a wy śmierć jego opiewacie. Pozwalacie się unieść geniuszowi... Mówcie, czy mistrz Pierleoni powiedział już coś dokładniejszego o charakterze choroby?

POLIZIANO: Nie jeszcze, dostojny Panie. Mówi on w słowach dla zwyczajnego rozumu niedostępnych, że zgnilizna poczęła mu toczyć czerw życia. Strach pomyśleć!

PICO: Czerw życia?

POLIZIANO: A co najstraszniejsze, to niepokój jakiś wewnętrzny, który mimo wielkiego osłabienia ogarnął naszego drogiego pacyenta. Wzbrania się leżeć w łóżku. Dziś kazał się nosić w krześle po ogrodzie, do loggii akademii platońskiej, po różnych komnatach willi i nigdzie znaleźć nie może spokoju.

PICO: Dziwne to w istocie.—Byłeś dziś u ojca, Vannino?

GIOVANNI: Nie jeszcze, mój Pico. Mówiąc między nami: zbyt ciężko mi przebywać koło niego; unikam tego lepiej. Ojciec taki zmieniony... Ten jego sposób patrzenia, najpierw podnosi oczy w górę a potem zatacza niemi z tak głęboką boleścią... Wyobrazić sobie nie możesz, jak straszno mi wobec choroby i cierpienia... Sam się czuję chorym. Czuję powiew grobu... Hu, nie, nie, ojciec sam uczył nas przecie odsuwać od siebie obojętnie wszystko, co smutne, brzydkie i bolesne, a dla piękna tylko i wesela duszę otwierać; nie może się teraz dziwić...

PICO: Pojmuję cię zupełnie. A jednak powinieneś przecież starać się przyzwyczaić... A gdzież brat twój?

GIOVANNI: Piero? Czy ja wiem? na koniu pewnie, fechtuje się; (probując przybrać ton weselszy) a może u jakiejś tłustej krowy...

PICO: U jakiejś—?... Aa, aa, patrzcie no na małego Vannina! Muszę powiedzieć memu przeorowi, że kardynał de'Medici nie cytuje już Arystotelesa, tylko pewne kazania... (Sługa

przynosi limonadę i odchodzi)... Ale mówcie no lepiej, mówcie, jak przyjął Lorenzo ostatnią nowidę?

POLIZIANO: Jaką nowinę, dostojny Panie?

PICO: Najnowszy figiel brata Girolama... skandal w katedrze...

GIOVANNI i POLIZIANO: W katedrze?

PICO: To nie wie jeszcze o niczem? Ani wy? Tem lepiej. Zaraz wam opowiem! Dajcie mi tylko wypić a powiem wam.— Śliczna łyżeczka.

GIOVANNI: Pokaż... a tak, ładna. Robił ją złotnik Ercole. Zdolny to człowiek.

PICO: Prześliczna! Te kule... jakie delikatne listeczki!... Udało mu się! Ercole? Muszę coś zamówić u niego. Dużo ma smaku.

GIOVANNI: A cóż ten skandal, Pico?

PICO: Prawda! Zaraz opowiem!—Wiecie przedewszystkiem, że chodzi tu o nią.

POLIZIANO: A więc o nią...

GIOVANNI: Opowiadaj, opowiadaj!

PICO: Wiecie pewnie, że uczęszcza na kazania brata Girolama?

POLIZIANO: Wiem, chociaż nie pojmuję.

PICO: Ja pojmuję doskonale. Kobiety w pierwszym rzędzie poddają się jego słowom z prawdziwym fanatyzmem, na te zwłaszcza, co dużo kochały, wywiera wpływ najsilniejszy, łatwo to zauważyć. Zresztą cóż chcecie? Braciszek w modzie teraz! Powodzenie jego przeszło najśmielsze moje oczekiwania, rośnie w oczach nizkiego ludu zarówno jak i szlachty, a nawet i opasłe mieszczaństwo poczyna się nim zajmować. Należy to wprost do dobrego tonu, być na jego kazaniach i wybaczcie, mistrzu Angelo, ale fanatyzm to z waszej strony, być tak upartym. Lecz wracając do rzeczy: boska Fiore nie jest tak zawziętą. W ostatnim czasie można ją znaleźć prawie codzień u stóp braciszka. Byłoby to zresztą bardzo pocieszające, a nawet zabawne... źle tylko, że postępowanie jej zbyt jest oryginalne i wyzywające. Zwyczajem jej przychodzić do katedry za późno, o małe pół godzinki za późno, kiedy kazanie dawno już zaczęte. Uszłoby i to, gdyby odbywało się w sposób mniej hałaśliwy i zwracający uwagę. Cóż kiedy nasza Piękna lubi przepych i wystąpienie książęce i o wiele mniej w tem powściągliwa, niż sam wielki wielbiciel jej, Lorenzo. Cały orszak świetnie odzianej służby otacza jej lektykę i towarzyszy swej Pani do wnętrza kościoła, torując wśród tłumu drogę do jej miejsca, niezbyt delikatnie

i uprzejmie. Byłem przy tem, gdy po raz pierwszy wchodziła w ten sposób podczas kazania. Zjawienie się jej byłoby i bez tego wywołało sensacyę... w tych warunkach doprowadziło wprost do zgiełku. Wszystko pchało się, szemrało, szeptało, wskazywało na nią, a ci, co ukorzyli się co dopiero w skrusze przed strasznemi groźbami brata Girolama, wykręcali sobie karki za tym wspaniałym, zajmującym widokiem tej sławnej, wytwornej, dumnie postępującej, bosko pięknej kobiety. Co do brata, obawiałem się w chwili, gdy ją ujrzał, że straci wątek myśli i panowanie nad sobą. Słowo, które miał na ustach, przeciągnęło się w sposób straszliwy. Zdrętwiał, zda się. Jeśli zwykle wydaje się bladym, teraz trupia iście bladość okryła mu lica. Nie zapomnę nigdy tego strasznego wzroku: miotał błyskawice, to znów gasł i rozpalał się na nowo.

POLIZIANO: Pięknie opowiadacie, dostojny Panie. Rozkosz to przedziwna przysłuchiwać się harmonijnie płynącej mowie waszej.

PICO: Ależ na Herkulesa, mistrzu Angelo, w tym wypadku ważniejsze przecież to, co się wydarzyło, niż opowiadanie jak się przydarzyło. Proszę was bardzo, uważajcie raczej na zdarzenie, niż jego wyrażenie...

GIOVANNI: Wydarzyło—przydarzyło... zdarzenie—wyrażenie. Brawo, Pico! Brawo!

PICO: Słuchajcie tylko dalej—Od tej chwili między bratem Girolamo a boską Fiore cicha, zacięta walka. Z początku jeszcze mogło uchodzić spaźnianie się to za elegancką niedbałość; lecz uporczywe powtarzanie się okazywało coraz widoczniej, że chodzi jej tylko o podrażnienie brata Girolama i jego słuchaczy. Ten znów próbował z swej strony różnych sposobów przeciw tej niepunktualności. Kazał głośno i straszliwie, by zagłuszyć hałas wchodzącej służby. To znów zniżał głos do tajemniczego szeptu, chcąc zmusić tem do skupienia uwagi. Albo też przerywał groźnie czekając, aż Donna Fiore zajmie swoje miejsce i wszystko się uciszy. Potem ciągnął dalej w sposób jeszcze straszliwszy. Dla nas ma to tę dobrą stronę, że odtąd ona przychodzi do katedry. Padre przeszedł wprost samego siebie. Każe wśród ogólnego lęku, płaczu i przerażenia, okropnemi karami grozi miastu za rozwiązłość, lekkomyślność, każdy chodzi potem osłupiały, jak bez życia po ulicy. Często gdy mówi o nędzy świata tego, miłosierdziu i zbawieniu, pisarzowi spisującemu te kazania łkanie przerywa pracę. Brat Girolamo posiada sztukę wstrząsania sumienia ludzkiego jednem dziwnie zaakcentowanem słowem, tak, że tłum cały

drży jak jeden mąż. Ciekawa to nadzwyczaj obserwacya dla kogoś, co odczuwa to samo wrażenie. Nic dziwnego, że natłok na kazania wzmógł się jeszcze bardziej... Ale nasza Piękna nie zaniechała swego dziwnego, zuchwałego postępowania i dziś przyszło do wybuchu, do katastrofy. Brat Girolamo posunął się za daleko, nie bronię go bynajmniej. Unieść się dał swemu wielkiemu talentowi... Słuchajcie, jak było. — O świcie już zapełniła się katedra tymi, co zapewnić sobie chcieli dobre miejsce a w czasie kazania taki ścisk był zewnątrz i wewnątrz kościoła, że ani szpilki zmieścić. Było tam co najmniej dziesięć tysięcy ludzi. Samych obcych z różnych stron ze dwa tysiące. Panowie i wieśniacy ze wsi i willi okolicznych wyruszyli w nocy jeszcze, by przybyć na czas na kazanie. Widać było i takich, co przyszli aż z Bolonii. Między San Marco a katedrą ścisk był nie do opisania. Władze z trudem tylko chronić mogły przeora w drodze przed zbyt gwałtownymi objawami miłości ludu, który chciał całować mu ręce i nogi, obcinać kawałki habitu. W ulicy Szerokiej, niedaleko waszego pałacu, Giovanni, zakrzyknęła jakaś kobieta, że uzdrowioną została od wybuchu krwi, przez dotknięcie szaty proroka. Tłum wziął to za znak cudowny i wołał głośno: Misericordia! Wewnątrz katedry zebrali się wszyscy ojcowie z San Marco, bractwa, słowem świat cały. Widać tam było członków Signorii i czerwone czapeczki Kolegium Ośmiu, mężczyzn i kobiety każdego wieku i zawodu, chłopców czepiających się filarów, rzemieślników, poetów i filozofów... Wreszcie stanął na kazalnicy brat Girolamo. Wzrok swój dziwnie palący utkwił w tłum i wśród głuchej grobowej ciszy mówić zaczyna. Zwraca się do Florencyi, mówi do niej »ty« i powoli, że strasznym spokojem pyta ją, jak żyje, jak dni spędza, a jak noce. W czystości, pogardzie zmysłów, w życiu duchowem, pokoju? Tu milknie, czekając odpowiedzi, a Florencya cała, tych głów tysiące napełniających katedrę wije się pod tym wzrokiem straszliwym, który wszystko widzi, wszystko przenika i poznaje, wie wszystko... Nie odpowiadasz mi? pyta... A słaba postać jego rośnie i woła głosem straszliwym: To ja ci sam powiem. Teraz zaczyna się bezlitośny obrachunek, prawdziwy sąd ostateczny a tłum cały kurczy się jak pod razami bicza. Każda słabostka cielesna staje się w ustach jego grzechem wstrętnym niewypowiedzianie. Zbrodnie nigdy jeszcze niewymieniane w miejscu świętem nazywa dobitnie z straszną bezwzględnością po imieniu; zarzuca je papieżowi, duchowieństwu, książętom włoskim, humanistom, poetom, artystom i kierownikom zabaw. Podnosi ramiona i z głębi objawienia wynurza się okropne widze-

nie, obraz pełen piekielnej ułudy: wszetecznica nad wodami wielkiemi, niewiasta na bestyi. Przyobleczona w purpurę i karmazyn i ozłocona złotem i drogim kamieniem i perłami, mając kubek złoty w ręce swej pełny obrzydliwości i plugastwa wszeteczeństwa swojego. A na czole swojem imię napisane: Tajemnica, Babilonia wielka, matka wszeteczeństwa i obrzydliwości. Niewiastą tą tyś Florencyo, bezczelna, rozwiązła wszetecznico! Pięknaś i wytwornie odziana, wonna i utrefiona. Dowcip i słodkie brzmienie na ustach twoich, ręka twa gardzi wszystkiem, co pozbawione piękna, a oko spoczywa z rokoszą na cudnych obrazach i nagich posągach bogów pogańskich. Lecz Pan wypluł cię z ust Swoich... Słuchaj... Nie słyszysz głosów w powietrzu? nie czujesz powiewu zniszczenia? Dobrze więc. Wszystko skończone. Żal za późny. Oto chwila sądu. Tylekroć przepowiadałem ci ją, Florencyo, lecz ty rozkoszna słuchać nie chciałaś biednego p r o r o c z e g o mnicha. Minęły dni tańców, pochodów i pieśni rozwiązłych... Zgubionaś nieszczęsna... Okropność! Patrz! Oto ściemnia się! Huczy grzmot! Miecz Pana zawisł nad wami... Ratuj się! Czyń pokutę!... Za późno! Wypuścił Pan wody na ziemię. Zatopi maski twe i larwy karnawału, dzieła poetów łacińskich i włoskich, klejnoty i fatałaszki, pachnidła, zwierciadła, zasłony, fryzury, nieskromne obrazy i posągi pogańskie. Czy widzisz łuny pożarów? Dzikie żołdactwo nieci żagiew wojny. Głód kroczy z szyderstwem ulicami twemi. Zaraza zionie cuchnącym oddechem... Koniec! Koniec wszystkiemu. Zginiesz, zczeźniesz wśród mąk okropnych. — — Nie, nie, zbyt słaby to obraz, przyjaciele moi! Nie widzicie miny jego i ruchów, nie słyszycie głosu, nie jesteście pod osobistem wrażeniem. Tłum jęczał jak na torturach. Widziałem jak mężowie dojrzali zdjęci przerażeniem zrywali się do ucieczki. Z pośród ludu wydarł się przeciągły, rozpaczliwy okrzyk: Litości! — Cisza grobowa.... Wtem—łamie się wzrok jego. Cud, w chwili najwyższego przerażenia. Z oblicza znika gniew straszliwy. Z bezbrzeżną miłością wyciąga ramiona... Zmiłowanie! woła... Zmiłowanie Pańskie! Zwiastować ci je mogę, Florencyo, ludu mój, miasto moje, jeśli uczynisz pokutę, wyrzekniesz się przeklętych rozkoszy i oblubienicą zostaniesz króla pokory i boleści. Patrz, oto On — tu wznosi krucyfiks—On chce być królem twym, Florencyo... Pragniesz ty Jego? Was grzechami nękanych, trapionych troską, was ubogich duchem, którzy nie wiecie nic o Ciceronie i filozofach, was nieszczęśliwych, złamanych, chorych i wzgardzonych, was wszystkich chce On pocieszyć, chronić, podnieść i pokrzepić. Nie powiedziałże św. Tomasz z Akwinu, że błogosławieni

przypatrywać się będą w królestwie niebieskiem karom potępionych, by rozkosz ich była tem większą? Zaprawdę, tak będzie. Lecz miasto, które Jezusa królem obrało, już tutaj zbawione. Nikt nie będzie cierpiał nędzy, podczas gdy inni przechadzają się po mozajkowych posadzkach, wśród sprzętów ozdobnych. Chce Jezus, a ja ogłaszam wam jako namiestnik Jego, by cena mięsa została znacznie zniżoną, na kilka soldów za funt; chce, by ten, kto winien klasztorowi pięć miar mąki, oddał je ubogim. Chce, by złote naczynia i obrazy kościelne sprzedane zostały a zysk rozdany ludowi. Chce... Wtem—Giovanni! mistrzu Angelo—wtem w chwili ogólnego wzruszenia, żalu i poddania się i skruchy ogólnej, katastrofa, która dostarczy Florentyńcom na długo tematu do rozmowy. Od głównego wejścia słychać hałas jakiś, szczęk, szepty i donośne stąpanie szybko się wzmagające. W ukośnych promieniach słońca padających przez okna połysk broni. Do wnętrza kościoła wkraczają halebardnicy i rozpychają wśród nawoływań przestraszony tłum na obie strony. A wśród niego ukazuje się boska Fiore, piękna i wyniosła otoczona trabantami i paziami. Nigdy jeszcze nie widziałem jej tak wspaniałej. Duża perła ofiarowana jej niedawno przez Lorenza, lśniła mlecznem światłem na niepokalanem czole. Z rękoma złożonymi na piersi, spuszczonymi a wszystko widzącymi oczyma, niezrównanym uśmiechem na ustach zbliża się zwolna do swego miejsca, korzystnego bardzo, naprzeciw kazalnicy. Na to Ferraryjczyk przerywa nagle ostatnie zdanie i wychylając się w proroczym szale daleko poza balustradę, woła wskazując wyciągniętą ręką prosto na nią: »Patrzcie, patrzcie! Oto ona, wszetecznica, kochanka królów tej ziemi, matka wszeteczeństw, kobieta na bestyi: wielka Babilonia.«

POLIZIANO: Okropne!... Nędznik!...

GIOVANNI: Ostro powiedziane—mniejsza z tem.

PICO: Nie, nie, osądzić nie możecie, Panowie! Nie byliście świadkami tego, z waszą szkodą i napróżno staracie się wyobrazić sobie potężne wrażenie tej chwili. Nie zapominajcie, że wszystko, co on widzi, prawdą się staje i rzeczywistością w chwili, gdy o tem mówi. Potrząsając bladą ręką, sterczącą z ciemnego habitu, wskazywał uporczywie na nią koło siebie i jak długo tej ręki nie opuścił, była piękna Fiore rzeczywiście tą niewiastą apokaliptyczną, wielką Babilonią w całej swej bezwstydnej wspaniałości. Lud cały miotany sprzecznemi uczuciami potępienia i litości, podniecony i rozgorączkowany nie wątpił o tem ani chwili. Wstręt, przerażenie i nienawiść malowały się w tych setkach ócz, zewsząd na nią zwróconych. Słyszeć się dały chry-

pliwe jęki, jakby krwi żądne. Spojrzałem i ja na nią i zapewniam was in verbo Domini, uczułem, jak włosy stają mi na głowie i zimny dreszcz mnie przenika.

POLIZIANO: Szukacie takich wrażeń; przyznajcie tylko, dostojny Panie!

GIOVANNI: A cóż ona? Co ona na to?

PICO: Przez jedno Zdrowaś Marya jakby zdrętwiała. Potem zerwała się z wściekłym okrzykiem i skinąwszy na swój orszak opuściła w wielkiem poruszeniu katedrę. Krążą pogłoski, że kazała swym ludziom zamordować go na kazalnicy, ale żaden się nie odważył. Mówią też, że po kazaniu wysłała do San Marco posłańca z tajnemi zleceniami. W każdym razie dał się zbyt unieść swej gwałtowności. Zupełnie go nie bronię. Jakiekolwiek postępowanie tej kobiety—nie wolno się z nią w ten sposób obchodzić. Lżyć przed całym ludem! Czyż to jakaś kurtyzana?

GIOVANNI: (chichocąc się) A cóż innego?...

PICO: Kochanka to Magnifika, na Erosa! Co innego to, sądzę, niż być jedną z tych, co to noszą żółty welon i mieszkać muszą w pewnych ulicach. Wspaniała niewiasta! Choćbyśmy nie wiedzieli, że mimo urodzenia na obczyźnie jest naturalną latorośla znakomitego rodu florenckiego, dowodziłby tego na każdym kroku wzniosły jej umysł, wszechstronne zdolności i wysokie humanistyczne wykształcenie. Zachwycające są jej tercyny i stance a grą na lutni wzruszyła mię już nieraz do łez. Umie na pamięć mnóstwo łacińskich wierszy, Wergiliusza, Owida i Horacego, a z jaką to gracyą wygłosiła niedawno po obiedzie w ogrodzie tę zuchwałą nowelkę z Dekameronu! Byłbym ją uściskał za to! A jeśli to wszystko za mało jeszcze, by zyskać jej podziw ogólny—mniejsza z tem! Kobieta ta cieszy się miłością wielkiego Lorenza!

POLIZIANO: Otóż macie dostojny Panie! I ja, ja uczyć was muszę, z tej okoliczności wnioski wyciągać? Wy, których rozum przenika bystro tyle rzeczy na niebie i ziemi, wy feniks wśród duchów, książę między uczonymi, uczony między książętami—wy nie widzicie do czego to wszystko zmierza? nie pojmujecie, że to nowe zuchwalstwo Ferraryjczyka niczem innem, jak nowym za machem, nową bezczelną i złośliwą demonstracyą przeciw Magnifikowi i domowi jego? Nasza boska Pani dała odczuć temu mnichowi całą pogardę, na jaką zasługuje, a on mszcząc się tak zuchwale nie usłuchał bynajmniej podszeptu ślepego gniewu i zemsty, skorzystał tylko rozmyślnie i świadomie ze sposobności, by uderzyć znienacka na męża,

którego sam tchórzliwie »mocnym« nazywa, u którego stóp spoczywa Florencya z rozkoszą od dwóch lat dziesiątków. Wyście Pan możny, miastami moglibyście władać i prowadzić wojny, gdybyście nie woleli żyć swobodnie w miłości dla nauk, a ja biedny poeta tylko, nic nie posiadam na tym świecie, prócz gorącej miłości ku domowi Medyceuszów, temu źródłu światła, piękna i wesela. I ta miłość nakazuje mi właśnie mówić, nakazuje mi oderwać Was młodego zaślepieńca od miejsca, gdzie wśród kwiatów ukryta żmija. Słuchajcie więc: niczem sprzysiężenie Pazzich, którego ofiarą padł niegdyś w katedrze piękny Giuliano, a sam Lorenzo omal nie poszedł jego śladem, gdyby był Bóg nie użyczył mi siły do zatrzaśnięcia za nim w ostatniej chwili drzwi zakrystyi... fraszka to, igraszka tylko, wobec nowych zamysłów piekielnych, knowanych na temsamem miejscu w Santa Maria del Fiore, przeciw Medyceuszom i ich świetnemu panowaniu. Upoiło tego robaka powodzenie, zyskane wśród ciekawego tłumu objawieniami wstrętnej swej natury. Coraz wyraźniej występuje w nim chęć zdobywania serc ludzkich, żądza zjednywania umysłów. Zrozumiejcież to, Panie, władzy pożąda ten umysł ponury! A co będzie, gdy dostanie mu się ona w udziele?

Patrzcie co się dzieje i drżyjcie! Zastęp takich, co gromadzą się około tego smutnego dyktatora, uwiedzeni chytrą łagodnością nauki jego, wzrasta w przerażający sposób. Ludzie weselszego umysłu przezwali nędzny ten, pokutniczy, wrogi pięknu rodzaj ludzki imieniem »Płaczki«, od tych, co to przy pogrzebach, za pieniądze żale zawodzą. I cóż się stało? W pokorze swej przybrali imię to jak godło zaszczytne i dziś »Płaczki« to nowa partya polityczna, wrogo usposobiona Medyceuszom, a za głowę jej uważa się wasz mnich! A co dalej? Synowie z pierwszych rodzin miasta, taki Gondi, Salviati, młodzieńcy zgrabni i wytworni, jak i wy ulubieńcy Bogów, padli do nóg Przeorowi, prosząc o przyjęcie do nowicyatu w San Marco. Lud prosty znów, podburzony i uwiedziony obietnicami. Do tego doszło że na katedrze i Palazzo przybili urwisze jacyś sonety wydrwiwające pana Piero de'Medici. Ach, cóżeście to zrobili, dostojny Panie, powołując tego człowieka do Florencyi i torując mu drogę swym wpływem—!

PICO: Czy wolno pośmiać się z was trochę, mistrzu Angelo? Nie pogniewacie się na mnie? Gdybyście widzieć mogli swoją minę. Idźcie popatrzeć do zwierciadła! Wyglądacie jakbyście sami należeli do tych »Płaczków«, do politycznej partyi »Płaczków« Haha! Dobre bogi! Zabawne to stronnictwo! Rzecz

ogromnej wagi! Nauczcie mnie, proszę, pojmować naszych Florentyńców! Nie znam ich, nigdy bliżej nie studyowałem. Wyobrażam sobie, że ludek to niezwykle gruntowny i wytrwały i z gwałtownem usposobieniem jego niema co żartować. Nie, nie, darujcie, ale trudno mi zachować powagę. Odkąd przypatruję się wszystkiemu, nielubiany jest Piero we Florencyi, za swoje dumne i odpychające postępowanie, zupełnie tu nie na miejscu. Ale za daleko trochę idziecie, szukając związku między tymi kulawymi sonetami wymierzonymi przeciw niemu a kazaniami brata Girolama. Jeśli Andrea Gondi i mały Salviati uważają za szczyt dobrego smaku ubrać się w habit dominikański—któż im zabroni? Przyznam się, że sam nosiłem się już z tą myślą. Zdaje mi się przecież, że żyjemy w czasach wolnych od przesądów? Czyż nie wolno mi we Florencyi ubierać się, jak mi się podoba, stosownie do mej indywidualności i nikt nie będzie przecie pokazywał palcem? Zapewne—tak co do ciała, jak i co do duszy. A jeśli sprzykrzyła mi się purpura i błękit i wolę skromną bezbarwność mniszego habitu? Dlaczego to nie krzyczeliście, gdy po tylu jaskrawych pochodach karnawałowych, tak zdumiewającem powodzeniem cieszył się ów słynny pochód śmierci, kiedy to z czarnych trumien wstawali umarli? Było w tem trochę pieprzu po przesyceniu się słodyczami.... Co uczyniłem, namawiając Lorenza by powołał brata Girolama do Florencyi? Przysporzyłem miastu temu wielkiego człowieka i na Zeusa, dumny jestem z tego! Pierwszy Lorenzo wdzięczny mi za to, jestem tego pewien. Czyż nie prosił on niedawno Spoletyńców, by mu odstąpili do katedry ciało Filippa Lippi, po to tylko, by pomnożyć liczbę sławnych grobowców we Florencyi? Gdy umrze kiedyś brat Girolamo, z Ferrary a może i z Rzymu przysyłać będą posłów do nas, błagają o popioły. Ale my ich nie damy. Cała Italia przyjdzie oglądać grób tego mnicha, o którym tyle mówiono, a ja będę mógł powiedzieć, że pierwszy go odkryłem i popierałem jego talent... Tak, tak, moi panowie, wygrana po mojej stronie. A wcale nie byłem tak pewny, bo któż przewidzi fantazyę Florencyi! Na owej kapitule dominikańskiej w Reggio, gdzie pierwszy raz go widziałem, nikt z początku nie zwracał nań uwagi. Byłem tam w kole literatów i uczonych, biorących udział w kapitule a on siedział wśród mnichów milczący i zamyślony, jak długo dyskusya toczyła się około kwestyi scholastycznych. Gdy zeszła na dyscyplinę, wmięszał się nagle do dysputy i zdumiał wszystkich dziwnym i demonicznym sposobem zapatrywania i wyrażania się. Stan kościoła i moralności społecznej stanął

nagle w jaskrawem, piekielnem świetle, głęboko wstrząsnęły mną słowa jego tak pierwotnej namiętności i mistycznej prostoty. I nie mnie jednego. Wielu mężów znakomitych a nawet książęcego rodu nawiązało z nim korespondencyę. Ja szukałem osobistej znajomości, a ta spotęgowała jeszcze pierwsze wrażenie. Wszędzie, w czasie mych podróży rozgłaszałem jego sławę. Potem przeniosłem się do Florencyi i tu wśród zajmujących studyów nad tym ruchliwym, wykształconym, złośliwym ludkiem, tem niespokojnem, ciekawem społeczeństwem, przyszła mi w wesołej chwili myśl użycia mego wpływu dla powołania tutaj brata Girolama. Sława jego była już ustalona, poprzedziły go moje pochwały, znalazłby tu pole do działania. Ryzykowne to było, śmiała próba. Powiedziałem sobie: zagłuszy go w tem mieście śmiech, zakłują żarty—albo też zyska największy tryumf stulecia.—I stało się to ostatnie. Mówię o tem z przyjacielem mym Magnifikiem, ten z Ojcami w San Marco i brat Girolamo zostaje powołany. Początkowo ogranicza się na nauce w klasztornym nowicyacie, potem proszą go, by dla zaspokojenia ciekawości wpuścił do klasztoru w czasie nauki kilku uprzywilejowanych ludzi. Audytoryum wzrasta z dniem każdym, a on niema nic przeciw temu. Spodziewam się, że nie! Znawcy, znakomite damy, świat cały zasypuje go prośbami, by zechciał wstąpić na kazalnicę. Próbuje opierać się trochę, potem ustępuje. Mały kościółek San Marco wnet przepełniony. Każe z powodzeniem niesłychanem. Imię jego na ustach wszystkich. Platonicy i Arystotelicy zaprzestają na chwilę swych sporów i dysputują o wartości tego chrześcijańskiego sędziego obyczajów. W krótkim czasie zaciasny już klasztorny kościółek na te tłumy; przeor przenosi swe kazania do Santa Maria del Fiore. I gdy z początku zajmował niewielu uczonych tylko i miłośników, teraz zapala cały lud niższy, na którego umysły magiczny wpływ wywiera swemi melancholijnemi proroctwami i głębokiem pojmowaniem życia całego. Przez mnichów obrany zostaje przeorem a San Marco, gdzie dotąd ni lepiej ni gorzej było jak po innych klasztorach, staje się miejscem świętem. Pisma jego w lot rozchwytują. Osoba na porządku dziennym. Najsławniejszy to, najpopularniejszy i największy człowiek we Florencyi, obok Lorenza de' Medici. A ja patrzę na to wszystko z radością i zadowoleniem i wasze przywidzenia mistrzu Angelo nie popsują mi tej pouczającej rozrywki!

POLIZIANO: Nie chodzi mi o to, dostojny Panie. Wie zresztą Florencya, przypuszczam, że dziwakiem żadnym nie jestem. Niech się wam zdaje, że zazdrość podszepnęła mi te

słowa, że żałuję wam przyjemności, której nie rozumiem i podzielać nie mogę. Przyznam się bowiem, że tego, co się tu dzieje, zupełnie nie pojmuję. Nieraz już dziękowałem bogom, że pozwolili mi urodzić się w tym czasie świtu i zmartwychwstania, ma on dla mnie tyle uroku, tyle porannej świeżości. Świat cały budzi się z uśmiechem, oddycha głęboko, kielich swój do nowego światła otwierając, do rozkwitającego kwiatu podobny. Rozwiały się dziecinne, ponure upiory, okrutne złe, przesądy, które trapiły ludzkość noc całą. Wszystko odrodzone. Otwiera się przed nami nieprzejrzany, czarowny świat nauk dawno zapomnianych lub nigdy nieznanych. Ziemia rodzi nam szczęśliwym skarby starożytnego piękna. Jednostka każda wykształcona i wyzwolona cieszy się swą indywidualnością. Sława wieńczy czyny wielkie, bezwzględne. Sztuka wyswobodzona z zasłon i więzów kroczy niewinnie po świecie i uszlachetnia wszystko czego się dotknie. Bóstwo rozkosz zsyłające upaja serca ludzkości, w świątecznym pochodzie idzie ona za swą uśmiechniętą przewodniczką, jej okrzyki radosne to kult życia i piękna. Wtem oto—cóż się dzieje? co się stało? Powstaje człowiek jakiś, któremu brzydota i niezgrabność nie pozwalają brać udziału w tym korowodzie rozkoszy i występuje przeciw tym boskim stosunkom, sprawia swym jadowitym zapałem, że pochód ten przerzedzać się poczyna. Tłumnie gromadzą się koło niego odszczepieńcy i zachowują się, jakgdyby w słowach jego było coś niesłychanie, zdumiewająco nowego. O czemże to on mówi? Co treścią istoty jego? Moralność!... Ależ to zupełnie przestarzałe pojęcie, zarzucone, nudne... Moralność jest śmieszna. Niemożebna! Czy może nie tak? Mówcie, Panie! Cóż potraficie mi na to odpowiedzieć?

PICO: Nic. Na razie nic, mistrzu Angelo. Wolę rozkoszować się w milczeniu pięknem słów waszych. Jak to wspaniale mówiliście o naszych czasach! Do rozkwitającego kwiatu podobne... Zaklinam Was — musicie coś z tego zrobić... ułożyć wierszem. Zastanawiam się tylko, czy oktawą... czy może lepiej łacińskim heksametrem...

GIOVANNI: Musisz coś odpowiedzieć Pico, inaczej zostałeś pobity.

PICO: Muszę? Chętnie. Pytałem raz już, zdaje mi się, czy żyjemy rzeczywiście w czasach wolnych od przesądów? Jeśli tak, to czyż swoboda ta ma mieć granice? Czyż wolnomyślność ma się stać religią a brak moralności odmianą tylko fanatyzmu? Protestuję przeciw temu!... Jeśli moralność niemożliwa już, ośmieszona—dobrze! Ale śmieszność, to największy postrach we

Florencyi, ten więc wydawałby mi się najodważniejszym, kto i przed nią się nie wzdryga. Co najmniej, zasługiwałoby to na podziw. A kto Florencyę zadziwił, zdobył ją już prawie... O moi kochani, grzech stracił dużo ze swego uroku odkąd zniesiono sumienie! Patrzcie tylko... Wszystko dziś wolno a przynajmniej nic ujmy nie przynosi, niema zbrodni, która zjeżyłaby nam włosy na głowie. Pełno dziś ateistów i takich, co twierdzą, że Chrystus przy pomocy gwiazd działał cuda. Ale któż odważył się dotąd wystąpić przeciw sztuce i pięknu? Czy ja bluźnię może? słuchajcie dobrze! Uwielbiam ja tych, co stanęli w obronie piękna, wtedy, gdy było działem niewielu a ograniczona moralność rozsiadała się spokojnie na swym tronie. Odkąd jednak piękno stało się hasłem ulicy, wzrasta w cenie cnota. Powiem wam na ucho nowinę, mistrzu Angelo: Moralność znów jest możebną...

GIOVANNI: (wyglądając przez okno). Czekajno, Pico! Widzę tam na dole w ogrodzie gości, musisz im to opowiedzieć.

PICO: (patrząc przez okno). Gości? Rzeczywiście. To artyści. Cały ich zastęp w ogrodzie. Poznaję Aldobrandina... Grifona... i wiekiego Franceska Romana!... Tym? Nie, im tego nie powiem, mój Giovanni! To nie dla nich. Ale zejdźmy do nich! Chodźno kardynale, chodźcie i wy, piewco chwały Medycejskiej! Zabawimy się z poczciwymi chłopcami.

POLIZIANO: Nie słuchacie mnie, słuchać nie chcecie! A ja widzę coś strasznego...

AKT DRUGI.

Ogród. Na tle pałac, za nim rozległa Campagna pokryta cyprysami, piniami i oliwkami, gubiąca się falisto na szarozielonym widnokręgu. Szeroka ścieżka wysadzana hermami i wazonami kwiatów, od której na prawo i lewo rozchodzą się boczne, prowadzi od domu ku przodowi, gdzie tworzy wolny plac. W środku basen z fontanną, na nim lilie wodne. Z przodu na prawo i lewo marmurowe siedzenia ocienione płaskiemi altanami w kształcie baldachimów.

1.

Grupa jedenastu artystów ukazuje się na ścieżce z lewej i zbliża wśród ożywionej rozmowy ku przodowi. Są to malarze i rzeźbiarze: GRIFONE, blondyn postawy niedbałej i pochylonej z szpiczastą bródką i wielkiemi, kościstemi rękoma; FRANCESCO ROMANO, imponująca postać o szerokiej, spiżowej głowie Rzymianina, zmysłowych ustach i czarnych oczach, któremi z powagą porusza; GHINO, niebieskooki, chłopięcy, słoneczny; LEONE: głowa Fauna o potężnym nosie, maleńkich, okrągłych, blizko siebie leżących oczach i bródce jak u Pana, przez którą widać wywrócone wargi; ALDOBRANDINO: hałaśliwy, rzucający się, o czerwonej, wykrzywionej twarzy; hafciarz ANDREUCCIO, siwawy, krótkowidzący, usposobienia kobiecego; stolarz GUIDANTONIO; złotnik ERCOLE; architekt SIMONETTO; PANDOLFO i DIONEO, pierwszy rzeźbi arabeski, drugi wyrabia figury portretowe z wosku. Z wyjątkiem strojnisia Ghina, odziani swobodnie, i na głowach rozmaite nakrycia, czworograniaste, okrągłe szpiczaste. Zajęci żywą dyskusyą, skręcają na środkową ścieżkę i popychając się wzajemnie, patrzą sobie w oczy i gestykulują.

ALDOBRANDINO: Zobaczycie, co powie na to Lorenzo! Ja przyjaciel jego rokujący najlepsze nadzieje, pomści on mnie z pewnością!

GUIDANTONIO: Na twojem miejscu nie robiłbym tyle hałasu o te kije, coś oberwał.

ALDOBRANDINO: Kto mówi tu o kijach? ty głupcze! To były szturchańce.

GRIFONE: Ależ daj pokój, mój drogi! Lud wsypał ci tyle kijów, że osła zapędziłby niemi do Rzymu.

ALDOBRANDINO: Czy mam podzielić się z tobą, ty błaźnie, kuglarzu... To były szturchańce; a choćby i kije, nie mogłyby ubliżyć mężowi tej miary, co ja. Głupi motłoch podburzony był przez tego puszczyka, brata Girolama, tego ignoranta, co tak się rozumie na naszym pięknym zawodzie, jak wół na lutni. Krótko mówiąc, czego oni chcą właściwie? Nie potrafię malować Madonny, w postaci obdartej, ubogiej kobiety tak, jak chce ten pobożniś; barw potrzeba mi i blasku. A że Najświętsza Panienka nie raczy pozować mi sama do obrazu, muszę być zadowolony gdy mi się trafi jakaś ziemska dziewczyna...

LEONE: (ubawiony). Gdy mu się trafi—gdy mu się trafi jakaś dziewczyna!—Oj ty niewiniątko....

ALDOBRANDINO: Nie brak ci widocznie humoru, mój kochany Leone. A tymczasem znane to ogólnie, że twoja maleńka Lauretta, którą wyrzeźbiłeś jako pokutującą Magdalenę, obdarzyła cię punktualnie dziecięciem. Zabezpieczyłeś się widocznie przed kijami!

GRIFONE: Przed szturchańcami! szturchańcami! Któż mówi tu o kijach!

LEONE: To całkiem co innego. Nie służyła mi za model do Magdaleny a potem do grzesznej zabawy, tylko trzymam ją u siebie dla swojej przyjemności, a obok tego rzeźbię. To całkiem co innego. Nie może to Świętej rozgniewać.

ALDOBRANDINO: Ale brata Girolama, ty głupcze, a dziś to wystarcza.

ERCOLE: Ach, tak! Uchowaj nas Boże, on taki surowy że samemu św. Dominikowi niczegoby nie przepuścił. Wmówił w lud, że jak drugi Mojżesz rozmawiał z Bogiem, to też słuchają go na oślep. Może sobie na wszystko pozwolić.

SIMONETTO: To prawda! Widzieliśmy sami, jak strasznie obszedł się dziś w katedrze z Madonną Fiore...

DIONEO: A gdzież ona? Czy nikt nie wie?

PANDOLFO: Pewnie u Magnifika i wszystko mu opowiada.

GUIDANTONIO: Nie, nie może być jeszcze w Careggi. Przed naszem odejściem widziano ją w mieście.

ALDOBRANDINO: A ty mistrzu Francesco, stoisz tu, milcząc po swojemu i uśmiechasz się jak zwykle. A całemu światu wiadomo, że dom swój urządziłeś całkiem po pogańsku, jak jaki starożytny Rzymianin a obrazy twoje inne trochę niż Beata Angelika...

GRIFONE: Złościsz się, żeś ty tylko oberwał kije!

ALDOBRANDINO: Oj Grifone, Buffonem powinieneś się nazywać! Nic innego nie potrafisz jak pochody urządzać i bawić dowcipami książąt. Darować mi nie możesz, że jestem dobrym malarzem. Przypnij sobie ośle uszy do czapki, ty głupcze! Ja idę do Magnifika!

ANDREUCCIO: Czekaj, posłuchaj! Lorenzo ciężko chory, nie możemy nachodzić go teraz, tak jak dawniej, jak maski w karnawale. Gdyśmy tu szli, zobaczyłem w oknie kardynała. Kiwał nam, jakby chciał zejść. Musimy zaczekać...

GHINO (donośnym głosem): Słuchajcie, co wam powiem! Wspólnie zabrać się musimy do dzieła. Związek artystów florenckich powinien zanieść przed Kollegium ośmiu skargę na kazania brata Girolama. A i ci, co należą do orkiestry Lorenza, muszą zebrać się i żądać, by zamknięto usta temu Ferraryjczykowi....

ALDOBRANDINO: Róbcie, co chcecie! Ja trzymam się Lorenza. On tu panem, nie Frate. Uszy poobcina tym drabom, co ośmielili się dotknąć mnie zuchwale, powywiesza ich na pałacu. Ja jego najlepszy przyjaciel, on mnie kocha. Wróciłem w pośpiechu największym z Rzymu, dlatego tylko, że on chory. W ośm godzin przybyłem z Rzymu!

GRIFONE: Co, co? W ośm godzin z Rzymu?

ALDOBRANDINO: W siedm i pół, mówię ci!

GRIFONE: Co, co? Tyś najlepszy przyjaciel Lorenza? Kiedyż to on cię tak wyszczególnił? A ja, czyż nie wróciłem także z Bolonii i Rimini, gdzie pracowałem u dworu, dlatego tylko, że on chory...?

ALDOBRANDINO: Milcz ty Buffonie! Nienawidzisz mnie, wiem o tem, tyś mój wróg śmiertelny, boś ty z Pistoi, z podbitej Pistoi a ja Florentyniec i twój pan przyrodzony...

GRIFONE: Co, co? Tyś pan mój? Łgarz z ciebie! obity pyszałek!

ALDOBRANDINO: Dobądź, ośle, co masz przy sobie i broń się, bo zabiję cię bez skrupułów. Obraziłeś mnie śmiertelnie! Gotów jestem popełnić coś strasznego...

ANDREUCCIO: Zostawcie! Dajcie pokój! Patrzcie, patrzcie no tam!

LEONE: Na Wenerę! Na Matkę Najświętszą! To ona, ona idzie!

GHINO (z zapałem): Spieszmy powitać ją i ofiarować swe usługi!

2.

W głębi zatrzymuje się ozdobna, złocona lektyka z latarniami i jedwabnemi firankami. Wysiada z niej Fiore, rzuca ukosem spojrzenie na artystów i daje znak sługom, by się oddalili z lektyką. Przez chwilę stoi nieruchoma, potem zbliża się środkową ścieżką powoli naprzód, w postawie przez Pica opisanej: ramiona zgięte pod kątem prostym, ręce złożone na piersi, wyprostowana, z głową w tył przechyloną a oczyma nizko spuszczonemi. Piękność jej drogocenna, dziwnie jakoś sztuczna. Postać o surowej, spokojnej symetryi, do maski niemal podobna. Włos w cienkie płótno ujęty spływa po obu stronach twarzy w jasnych, regularnych lokach. Oczy podłużne, brwi jakimś sposobem usunięte lub niewidoczne tylko, tak że miejsce puste nad górną powieką wydaje się podniesione do góry. Skóra na twarzy jakby wypolerowana, napięta, jasno zarysowane usta otacza tajemniczy uśmiech. Na długiej, białej szyi delikatny, złoty łańcuszek. Ciężka brokatowa szata o ciemnych, wązkich, lekko przeźroczystych rękawach aksamitnych, tak skrojona, że występuje trochę dolna część ciała a na piersi widać część zasznurowanego gorsetu.

ARTYŚCI (cisną się ku niej wśród objawów gorącego uwielbienia, niektórzy klękają nawet, podnosząc powitalnie ramiona): Niech żyje Fiore! Boska pani nasza! Niech żyje!

FIORE (ciągle jeszcze ze spuszczonemi powiekami, z zimną powagą i tak cicho, że nastaje głębokie milczenie): Schowajcie natychmiast broń.

ALDOBRANDINO: Dobrze, dobrze, Pani! Schowamy! Patrz! Już jej niema...

FIORE: I wy chcecie nazywać się artystami?

GRIFONE: Wiecie dobrze, Pani, że nimi jesteśmy.

FIORE: Ale sami zapominacie widocznie, skoro potraficie przykładać taką wagę do innych rzeczy. (Pauza) Lekką i dziecinną wydaje mi się sztuka wasza, skoro tyle krwi, tyle zapału zostawia.

ALDOBRANDINO: Pani, obrażono mię śmiertelnie.

FIORE: (cicho, z szyderstwem): Śmiertelnie? A to co innego. Skoro cię śmiertelnie obrażono...

GHINO: Dziwne dziś słowa wasze, Madonno!

FIORE: Doprawdy?... Zmieszałeś się? Mąci ci się w głowie, biedny mały?... Co?... Czekajno!... Jak ci na imię?

GHINO (dotknięty): Znaliście mię dawniej.

FIORE: Prawda, tyś Ghino, milutki Ghino, co to portretuje piękne damy, Ghino skończony bywalec, tancerz Ghino,

zawsze mile woniejący. Mówią, że nawet konika swego perfumujesz, gdy w towarzystwie wyjeżdżasz?... A to Guidantonio, co wyrabia te piękne krzesła. Patrzcie, oto Leone. Dzień dobry wam, Panie! Spodziewam się, że wesoło spędziliście noc ubiegłą...

ALDOBRANDINO (nie mogąc się powstrzymać): Madonno... i was obrażono dziś śmiertelnie?

FIORE: Czy tak? Mnie? Któż taki?

ALDOBRANDINO: Droga, cudna Pani—ten Frate...

FIORE: Jaki Frate? Z nowelli?... Ach, tak, przypominam sobie. Widziałam cię dziś w katedrze, prawda? i ciebie? i ciebie także? Byłam tam, by się trochę rozerwać. Nieźle wyglądaliście. Widziałam, jak bledliście po same białka.

ALDOBRANDINO: To z gniewu, Pani! Z gniewu!

FIORE: Zapewne. Usta wam drżały. Słabo wam było z samego bohaterstwa. Widziałam.

ALDOBRANDINO: Ten nikczemnik! Żydowin! rozbójnik! Co się was lżyć ośmielił...

FIORE: Słuchajcieno, co za wspaniała wymowa! Dorównasz niedługo swemu Frate, mój dzielny mistrzu Aldobrandino. Wtórujcież mu i wy! Czemuż zostajecie w tyle? Jakąż to ulgę musi wam przynosić że odgrażać się możecie, skoro w katedrze gniew powstrzymywał was od czynu.

ALDOBRANDINO: Od czynu... Na bogów, krzywdę wyrządzacie nam szyderstwem swojem, Madonno! Dopieroco przed przybyciem waszem naradzaliśmy się, jak zaradzić złemu. Ale cóż my możemy sami? Lorenzo kocha nas, ale jedno słowo z ust Waszych więcej znaczy u niego, niż wszystkie nasze skargi. Wystarczy byście chcieli tylko, a Ferraryjczyk zginie. Język mu obetną, który was kalał, zgruchocą pierś, jak na to zasłużył, słowem, zabiją...

FIORE (z nagłą gwałtownością): A więc zabij go! (wyciąga z błyskawiczną szybkością z za gorsu sztylet i podaje Aldobrandiniemu). Zabij go! Czy widzisz tę małą zgrabną broń? Na końcu ostrza zabarwiona... Weź! Mocny to sok, w którym ją umaczałam. Draśnięcie jedno wystarczy... Weźże! zamiast patrzeć tak bezradnie. Weź, Ghino, dzielny mój rycerzu! Albo ty Guidantonio, co wyrabiasz piękne krzesła! A może ty Rzymianinie, Francesco! Czyż nie wyglądasz na starożytnego rzeźnika? A to słaby kapłan tylko...

ALDOBRANDINO: Madonno... nikt nie może do niego przystąpić. Mieszka w San Marco... Kocha go lud cały... W drodze do katedry czujnie go strzegą...

FIORE (patrząc nań): Przyjdzie tutaj!

ARTYŚCI: Tutaj?! Kto? Kto taki?

FIORE: Brat Girolamo stanie tu, dziś jeszcze.

ALDOBRANDINO: Brat Girolamo... tutaj...

FIORE (chowając sztylet, zmienionym głosem): Żartowałam sobie z was. Co za pomysł, prawda? brat Girolamo—tutaj! A teraz pozwólcie, że się pożegnam.

ALDOBRANDINO (jeszcze trochę zmieszany): Idziecie do Lorenza?

FIORE: Do Lorenza? Lorenzo leży chory i jęczy... Źle bardzo z wielkim Lorenzem. Mam ochotę przejść się trochę po ogrodzie.

GHINO: Pozwolicie mi Madonno, pozostać w swem czarującem towarzystwie?

FIORE: Cenię uprzejmość waszą, mój Panie. Ale choćbym narazić się miała w oczach waszych na zarzut kapryśnego stronienia od ludzi, wolę zrezygnować tym razem z waszego cennego towarzystwa (Oddala się).

3.

GHINO (wraca odprowadziwszy ją usłużnie część drogi): Wspaniała, boska kobieta! Cudna nad wyraz wszelki!

GUIDANTONIO: No, niezbyt grzecznie cię odprawiła.

GHINO: Nic nie szkodzi! Nic nie szkodzi! Rozkosz to widzieć ją choćby!

ALDOBRANDINO: Szczęśliwy, kogo zauważyć raczy! A jeśli nie chce, tem goręcej stara się każdy na chwilę choćby przykuć oporną jej uwagę, uśmiech choćby, skinienie jedno uznania pozyskać... Ściśle biorąc, o niej tylko myśli się przy pracy. Jej to piękność zachęca zawsze do tworzenia...

INNI: Tak, tak!

ALDOBRANDINO: Na Boga, Jak szczęśliwym musi być ten dopiero, komu ona posłuszna, przed kim klęka, kto ją ugiąć potrafił...

ERCOLE: Uważaliście, w jak dziwny sposób wyrażała się o Lorenzu?

SIMONETTO: Dziwnem było każde jej słowo.

ANDREUCCIO: Zdawało się, że za każdem coś się ukrywa.

LEONE: Mnie pytała o noc ostatnią. To chyba trochę za wiele.

ALDOBRANDINO: Jej wszystko wolno. O najdraźliw-

szych kwestyach mówi tak pięknie i uroczo, że brzmi to jak muzyka anielska.

PANDOLFO: Nie wiedziałem, że nosi broń przy sobie.

DIONEO: Niebezpieczna kochanka!

ALDOBRANDINO: Kobieta dojrzała, odważna i samodzielna. Z bronią bardzo jej do twarzy.

ANDREUCCIO: Może to tensam sztylet, którym ojciec jej groził Medyceuszom, wówczas, gdy musiał iść na wygnanie za czasów Luca Pitti...

LEONE: Nie wierzę temu. Ani też, żeby była naturalną córką jakiegoś wygnanego szlachcica. Gdy Zeus obalił z tronu Kronosa, porwał mu pewną ważną część ciała i rzucił w morze. To zaś zrodziło w ten dziwny sposób—naszą Panią.

GRIFONE: Nieźle! W ładnym byłaby wieku!

LEONE: A wiesz, ile ona ma lat? Nikt tego nie wie. Jeśli wogóle podlega wpływom czasu, umie to doskonale ukrywać.

GHINO: To prawda. Cuda opowiadają o jej kosmetykach i miksturach. Mówią, że całymi dniami wytrzymuje na słońcu, żeby mieć jasne włosy. Wielu twierdzi, że zęby nawet maluje.

ALDOBRANDINO: Wielu twierdzi wprost, że używa czarów... Opowiadają z wszelką stanowczością, że zaczarowała Lorenza, by do śmierci schnął z miłości ku niej. Pępki zmarłych dzieci gotowała w oleju z wiecznej lampki skradzionym i jeść mu to dała.

GRIFONE: Idź, no, idź! Nie chce mi się temu wierzyć.

ALDOBRANDINO: Niczemu nie wierzysz, o co nie uderzysz nosem i jeszcześ nie wiedzieć jak zarozumiały. Prawda to, że umysły dzisiejsze zbyt wykształcone, by tak jak dawniej brać wszystko za dobrą monetę; ale wszystko ma przecież granicę. Nie wierzę w transsubstancyacyę, absurd to, mój kuzyn Pasquino, który sam jest kapłanem, mówił mi wyraźnie, że także nie wierzy. Dowiedzione to jednak, że we Fiesole są czarownice a wiele lekkich kobiet używa czarów, by mężczyzn usidlić.

LEONE: Tak, to dowiedzione! Wszystkie kobiety to czarownice. Wiem ja o tem.

ALDOBRANDINO: Wierzcie, mi dużo jest dziwów na świecie i gdybym chciał opowiadać...

GHINO: Otóż i najprzewielebniejszy ksiądz Kardynał!

4.

KARDYNAŁ GIOVANNI, PICO della MIRANDOLA i ANGELO POLIZIANO zbliżają się środkową ścieżką od strony

pałacu. Poliziano ma sukienną czapkę w formie ściętego stożka, Pico okrągłe nakrycie głowy z tyłu trochę podwinięte. Ogólne, ożywione powitania: ze strony artystów z poufałem lub ironicznie przesadnem uszanowaniem. W ciągu rozmowy grupują się swobodnie po obu stronach na ławkach i na brzegu basenu.

GIOVANNI: Witajcie Panowie! Zastaję was, jak widzę na poważnej rozmowie?

ALDOBRANDINO: Zagadnienia filozoficzne, kwestye religijne, najprzewielebjszy Panie! Dysputowaliśmy o sprawach nadprzyrodzonych.

PICO: Spodziewam się, że zdania wasze zgadzają się najzupełniej z nauką naszego świętego Kościoła!

ALDOBRANDINO: Najzupełniej, dostojny Panie! W zasadzie—najzupełniej! Mam prawo uważać się za pobożnego. Przestrzegam ściśle przepisów religijnych i po skończeniu każdego obrazu ofiarowuję świecę. Dziś właśnie byłem w katedrze na kazaniu... Ale ładna spotkała nas zapłata, kochani Panowie!

GIOVANNI: Ładna zapłata? Jakto Aldobrandino?

ALDOBRANDINO: Zaraz wam opowiem, najprzewielebniejszy Panie! Wam i Magnificencyi, ojcu waszemu muszę o tem powiedzieć. Poto tu przyszedłem. Znieważono mnie.

POLIZIANO: Znieważono?!

GUIDANTONIO: Lud pobił go po kazaniu przed katedrą.

POLIZIANO: Po kazaniu? (z wyrzutem do Pica). Widzicie dostojny Panie!

PICO: Pobili cię, mój Aldobrandino? Pójdźno tu! Gdzie cię obili? Kto cię obił? Powiedz mi wszystko!

ALDOBRANDINO: Dobrze, Panie, poznacie z tego jasno, żem niewinny. Byłem więc w katedrze, gdzie zdobyłem ciasny jakiś kącik do stania. Strasznie było gorąco w ścisku, ledwo mogłem oddychać, pot lał mi się strumieniami ale czegoż to nie znosi człowiek dla chwały bożej...

PICO: No i z ciekawości—

ALDOBRANDINO: Zapewne. Płakałem też bardzo, choć nie mogłem widzieć nawet brata Girolama, ale wszyscy płakali i było to wogóle bardzo budujące. Scena z Madonną Fiore przeraziła mnie niezmiernie; ledwo przyszedłem trochę do siebie, usłyszałem, że brat Girolamo mówi o sztuce i nastawiłem pilnie uszu. Dziwne ma on zapatrywania, Panie, najzupełniej różnią się od moich. Fałszywe to i potępienia godne mówił, przedstawiać Pannę Najświętszą w wytwornych szatach z jedwabiu, aksamitu i złota, nosiła Ona, wołał z gniewem, szatę ubóstwa. Do-

brze, ale cóż kiedy ta szata ubóstwa nie ma dla mnie najmniejszego malarskiego uroku? Co wtedy? Żywię ja cześć najgłębszą dla Panny Najświętszej, oby raczyła modlić się przed tronem Boga za mną biednym grzesznikiem, Amen, Amen! Ale gdy pracuję, chodzi mi mniej o Nią, jak o to, by pewien kolor zielony wydawał się ładnie przy pewnym czerwonym... Wy to rozumiecie, Panie!

PICO: Rozumiem, mój Aldobrandino!

ALDOBRANDINO: A bluźnierstwo to, jak twierdził i grzech ciężki malować zalotnice i lekkie kobiety jako Madanny i świętych Sebastyanów, jak to dziś bywa. Żądał, by karano to mękami i śmiercią. Tymczasem wie cała Florencya, że niedawno skończyłem Madonnę, do której pozowała mi śliczna dziewczyna, która żyje ze mną dla mej rozkoszy. Śmiejcie się Panie, że się chwalę, ale wspaniały to, obraz! Po skończeniu napisałem na cześć jego sonet a podczas całej pracy czułem jasność nad głową...

PICO (poważnie): Słusznie masz, Aldobrandino, Madonna twoja, to arcydzieło.

ALDOBRANDINO: Wielki znawca z was, Pice Marandula! Pozwólcie ugiąć przeds obą kolano... Dobrze więc! Gdy po skończonem kazaniu wydostałem się między tłum towarzyszący bratu do San Marco—zawołał nagle koło mnie jakiś drab patrząc mi w oczy: »Widzicie, to jeden z tych piekielników, co malują Madonnę jako rozpustnicę!« W mgnieniu oka zwraca się tłum z bydlęcą wściekłością przeciwko mnie, zaczynają bić czapkami, popychać łokciami, omal że nie deptać... Rąk podnieść nie mogłem, tak byłem zewsząd ściśnięty. Począłem pluć w twarz, tym, co stali najbliżej, ale słaba to obrona. Cud prawdziwy, mówię wam, że z życiem uszedłem. Widocznie chce Bóg, bym namalował dużo jeszcze pięknych rzeczy, skoro mię ocalił...

POLIZIANO: Widzicie, dostojny Panie, do czego doszło?

PICO: Że też ja nie domyślałem się niczego, mój Aldobrandino! Przyjść ci nie mogłem z pomocą! A musiałem być niedaleko.

ALDOBRANDINO: Niech tylko mam wolne ręce Panie, a nie będę potrzebował żadnej pomocy. Dzielne mam serce w piersi, w niejednej przygodzie tego dowiodłem. Raz trzem się obroniłem... było to wczoraj wieczorem, przed powrotem z Rzymu, gdzie miałem liczne zamówienia... Wiecie pewnie, że na wieść o chorobie naszego dostojnego protektora pospieszyłem niezwłocznie z Rzymu?... No więc! Byłem już blizko

Florencyi, oczyma duszy widziałem już bramę San Pietro Gattolini. Mrok zapadał; szedłem pieszo, sam jeden. Przechodziłem właśnie przez wąwóz, który znacie pewnie, wtem wypada na drogę dwóch drabów o podejrzanym wyglądzie, którzy skryci byli za krzakami, a gdy się obróciłem, ujrzałem za sobą trzeciego. Co za łotrostwo, prawda?! Trzech drabów, wysokich jak cyprysy, strasznego wejrzenia, od stóp do głowy zbrojnych. Bravi jacyś może, najęci przez tych, co zazdroszczą mi talentu, a może zwyczajni rozbójnicy, żądni mego mienia; położenie moje było w każdym razie rozpaczliwe. Dobrze więc, pomyślałem, jeśli mam zginąć, drogo przynajmniej sprzedam moje życie, dobyłem szybko miecza a oparłszy się plecami o ścianę wąwozu zaintonowałem z głębi piersi Miserere. Pierwszego, co się zbliżył, palnąłem przez łeb, aż świeczki stanęły mu w oczach i runął martwy na ziemię. Wówczas zdjęło innych takie przerażenie przed moim szałem, że z rękoma złożonemi na piersi błagali, bym pozwolił im odejść spokojnie, na co też zezwoliłem, powodowany chrześcijańskiem miłosierdziem. Ulotnili się z ciałem swego towarzysza a ja udałem się spokojnie i cało w dalszą drogę.

GRIFONE: Na wszystkich aniołów, jeśli to nie zełgane!...

ALDOBRANDINO: Niech Bóg zeszle na mnie zarazę, bym marnie zginął...

PICO (chłodno): A, to ty Grifone? Doprawdy, nie zauważyłem cię przedtem. Zdawało mi się, żeś w podróży?

GRIFONE: Byłem, do usług, łaskawy Panie. Podziwiam pamięć waszą; tak, podróżowałem. Od wczoraj dopiero jestem z powrotem. Otrzymałem ważne i zaszczytne zamówienia. Urządzałem pochód dla Malatesty, na cześć imienin jego dostojnej małżonki, a i pan Giovanni Bentivoglio korzystał z mego wesołego talentu. Rozumny to i hojny książę! Niejednego dublona dostałem naśladując przy stole wszystkie dyalekty włoskie lub sławnych mężów... Nie inaczej, dostojny Panie, taki jak ja musi podróżować, jeśli nie chce marnować swych zdolności. Florencya sama zanadto dowcipna... W Lombardyi dopiero i w Romanii można do czegoś doprowadzić.

PICO: Gratuluję ci. Ale powiedz, no... tyś malarz nieprawdaż?

GRIFONE: Tak, Panie, to mój zawód.

PICO: A zdarza się czasem, że co namalujesz?

GRIFONE: Czasami, dostojny Panie, czasami ale niezbyt często, bo mam dużo innych zajęć. Od niedawna wyrabiam skrzypce, co mi sprawia wielką przyjemność. Przedewszystkiem

jednak jestem karnawalistą i urządzanie pochodów to mój zawód właściwy. Pospieszyłem teraz do Florencyi, bo niedaleko już do święta majowego na Piazza Santa Trinità. Przebóg, dziś 8. kwietnia, czas najwyższy, by rozpocząć przygotowania! Wielkanoc także niedaleko. A potem trzeba i na karnawał wymyśleć coś nowego...

PICO: Zdaje mi się, że karnawał skończył się co dopiero...

GRIFONE: Tak, to prawda, niedawno minął. W każdym razie łamiemy już sobie głowę z przyjaciółmi nad najbliższym pochodem. Pochód, dostojny Panie, pochód karnawałowy! Orfeusz między zwierzętami, Cezar i siedm cnót, Perseusz i Andromeda, Bacchus i Ariadna—wszystko to już było. Wyświstałby nas lud i wydrwił, gdybyśmy mu dali coś podobnego. Cóż można wymyśleć jeszcze po »Pochodzie śmierci«, który miał tyle powodzenia? Doprawdy, w wielkim jestem kłopocie!

PICO: Florencya liczy na twoją pomysłowość.—Ale rozmawiałem z Aldobrandinem a ty nam przerwałeś. Usuń się trochę, przyjacielu. Wróćmy do twojej sprawy, Aldobrandino! Jeśli się nie mylę, przychodzisz poskarżyć się przed Magnifikiem...

ALDOBRANDINO: Tak, Panie, na zbawienie duszy!

PICO: Nie czyń tego, Aldobrandino, proszę cię! Otrzymasz zadosyćuczynienie a raczej masz je w sobie samym. Człowiek tej miary! Artysta znakomity, który czuje po swej stronie uznanie wszystkich wykształconych! Co cię obchodzi przelotna nienawiść ślepego tłumu!

ALDOBRANDINO: Wspaniałe słowa Wasze dostojny Panie! Ale...

PICO: Co do Lorenza, nie można go teraz żadną miarą niepokoić podobnemi wieściami. Wiesz, że chory, jak bardzo, każdy kto go kocha pomyśleć nawet nie śmie. W każdym razie usuwać należy wszystko, coby mogło duszę jego zaniepokoić lub wstrząsnąć...

ALDOBRANDINO: Jeśli tak, chętnie mu tego oszczędzę, dostojny Panie, choć ciężko to bardzo znosić w milczeniu doznaną krzywdę. Ale wiedzą bogowie, że drogi on sercu memu nad wszystkich ludzi.

PICO: Pięknie powiedziałeś, mój Aldobrandino; rozumny i dzielny człowiek z ciebie. Dotrzymaj słowa a nie pożałujesz.

POLIZIANO (w pewnej odległości, do kilku artystów): Wogóle nie wiemy nic, kochani przyjaciele. Czekamy co doniesie Spoletyniec o skutkach tego kosztownego napoju...

ANDREUCCIO: Pożądanem by było rozszerzyć wkrótce w Florencyi pomyślne wieści. Wśród ludu niepokój wielki.

GUIDANTONIO: Tak, tak, lud przeczuwa coś złego. Ukazały się podobno niepomyślne znaki.

GHINO: W klatce koło pałacu rozdarł jeden lew drugiego. Zła to wróżba.

ERCOLE: Niektórzy słyszeli podobno jak o pewnych godzinach Święci jęczą po kościołach.

SIMONETTO: Wielu to potwierdza. Pewien handlarz owoców na Piazza San Domenico opowiadał mi, że u niego w sklepie obraz Madonny poruszył kilkakrotnie oczami.

ALDOBRANDINO: Cicho, ja wam coś opowiem! Nic to jeszcze w porównaniu z tem, co ja widziałem. Dziś rano gdym wyszedł za bramy na przechadzkę, widziałem deszcz krwawy.

GRIFONE: Śmieszne. Krwawy deszcz nie istnieje. W chmurach niema żadnej krwi.

ALDOBRANDINO: Panie Giovanni, niech Eminencya Wasza zechce pouczyć tego kacerza, że według naszej św. wiary nie należy to wcale do niemożliwości.

GIOVANNI: Tak, czy nie, jeśli mój ojciec wyzdrowieje poleje się dobry Trebbianin, płyn, który o wiele przekładam ponad krew.

ALDOBRANDINO:... przekładam, haha, bosko! »O wiele przekładam!« Co za wspaniałe, trafne powiedzenie! Słyszeliście? Płyn! Istotnie, wino trebiańskie to płyn, ale w tem dowcip, tak je nazywać!...

ANDREUCCIO: Nie, nie, Panowie, najważniejsza, że Padre Girolamo przepowiedział śmierć Magnifika. I to tak lud niepokoi.

PANDOLFO: Nikczemnik! Powtarza to jak puszczyk przy każdem kazaniu. A nadto grozi wojną, głodem i zarazą.

ANDREUCCIO: Saturniczny to temperament.

DIONEO: Co tam! Nienawiść przemawia z niego i zazdrość!

ERCOLE: Każdy Ferraryjczyk chciwy i zazdrosny.

ANDREUCCIO: Chciwym nie można go nazwać. W San Marco przestrzega ściśle ubóstwa a sam chodzi w wyszarzanym habicie...

LEONE: Broń go, broń, ty hafciarzu. Stara baba z ciebie.

GUIDANTONIO: Widać, że silne zrobił na tobie wrażenie. I tyś już jeden z tych »Płaczków«, co to głowy zwieszają i klepią pacierze.

ANDREUCCIO: Wcale nie, zapewniam was, drodzy przyjaciele! Ale w duszy mej pełno skrupułów i ciężko mi na sercu. Wiecie, dostojny książę i wy najprzewielebniejszy Księże

Kardynale, że nie tylko pracą rąk służę sztuce, wykonując piękne hafty i rysując dywany, ale i słowem działam nieraz ku uszlachetnieniu rzemiosła mego i upiększeniu życia. Pod rządami Medyceuszów, panów moich, wszystko powinno zdaniem mem zmierzać do sztuki i podniesienia dobrego smaku... I dziś jeszcze jestem tego przekonania. Ale cierń utwił w sercu mojem... Widzicie, niedawno rozprawiałem w licznem gronie słuchaczy o postępie dokonanym w artystycznem przyrządzaniu pierników; wyrabiają teraz, jak wiecie, śliczne pierniki, w różnych postaciach, według najnowszej mody. O tym traktacie usłyszeć musiał brat Girolamo i w jednem z ostatnich kazań swoich poruszył ten temat w mej obecności. »Nie pojmuje rzeczy wzniosłych ten« powiedział, patrząc wobec wszystkich na mnie »kto je poniżyć się stara. Dziecinne zuchwalstwo to dysputować nad upiększeniem pierników, gdy tysiącom brak nędznego chleba dla zaspokojenia głodu.« Tłum począł szlochać a ja zakryłem oblicze. Słowa jego to ostre strzały, Panowie, celnie trafiają!... Od tej chwili martwię się i skrupuły mnie trapią, bo nie wiem, czy zawsze postępowałem tak jak należy!

POLIZIANO: Wstydź się, wstydź Andreuccio! Brak ci duszy artystycznej! Nie słuchałbyś inaczej tego nędznika, który kala codzień sztukę w swej gminnej zawiści.

ANDREUCCIO: Czyż on jej nienawidzi? Nie wiem tego. O dziełach Beata Angelika wyraża się zawsze z wielką miłością. Wierzajcie mi, głębokie są myśli jego. (z trudnością) A jeśli on sztukę ceni tak wysoko, że bluźnierstwem wydaje mu się stosowanie jej do pierników...?

ERCOLE: Niech się tam, kto chce, nad tem zastanawia! Ja wiem tyle tylko, że ten nędzny żebrak wytępić chce we Florencyi raz na zawsze rozkosz wszelką i wesele. Zniesiony ma być obchód San Giovanni, karnawał...

GRIFONE: Co? Co? I karnawał?

ERCOLE: Tak, znieść go chce. Musisz oglądnąć się zawczasu, Grifone, z czego żyć będziesz. Musić zacząć malować.

GIOVANNI: Mówcie mi więcej o nim! Ciekaw jestem, co powiedział jeszcze. Zaiste dziwny to człowiek.

GUIDANTONIO: Zapewnić mogę waszą Eminencyę, że silne ma nieraz powiedzenia. Z papieżem gorzej się obchodzi niż z Turkiem jakim, a z książętami włoskimi surowiej niż z kacerzami. Szybki koniec przepowiada domowi waszemu i rządom, czyni to w sposób skryty i straszny. Mówi o skrzydłach potężnych, które zdruzgoce. O mieście Babylon, ojczyźnie głupców, które Pan zrówna z ziemią. A wie każdy, że myśli o do-

mu ojca waszego i jego potędze. Dokładnie opisuje budowę miasta tego, twierdzi, że składa się na nie dwanaściorga niedorzeczeństw ludzi bezbożnych...

GRIFONE: Co, co? Dwanaściorga niedorzeczeństw? Toby było coś dla mego pochodu! Czekajcie! Dwanaściorga niedorzeczeństw ludzi bezbożnych... (oddala się z żywem zajęciem z jednym z artystów, by o tem radzić).

GHINO: Od drukarza, pana Antonia Miscomini otrzymałem polecenie ozdobienia drzeworytami nowego wydania dzieł brata Girolama.

POLIZIANO: Co ty mówisz? I przyjąłeś?

GHINO: Naturalnie.

PICO: I dobrze zrobił, zdaniem mem, mistrzu Angelo. Dzieła o modlitwie, pokorze i miłości Jezusa Chrystusa to świetne utwory literackie. Zyskają jeszcze na wartości dzięki ilustracyom Ghina.

GHINO: Innego zdania był brat Girolamo, dostojny Panie! Wyobraźcie sobie tylko, że przeciwny był artystycznemu przyozdabianiu swoich dzieł! Nie chciał ilustracyi! zdarzyło się wam coś podobnego? Ale pan Miscomini był na tyle rozsądny, że uparł się przy tem, by dzieła te wydane zostały ozdobnie. Proszę was, któż czyta dziś książkę, która oka nie bawi i nagi tekst tylko zawiera! Skończyłem już kilka ładnych rzeczy. Obecnie wycinam z drzewa pieczęć dla brata....

GIOVANNI: Jak wygląda?

GHINO: Madonna, wasza Eminencyo, dziewica z literami F. H. po obu stronach.

LEONE: Wiem już teraz, dlaczego Lorenzo tak nie cierpi brata Girolama.

KILKU ARTYSTÓW (z zaciekawieniem): Dlaczego?

LEONE: Bo nie lubi obrazu dziewicy. W każdym razie starał się zawsze o to, by ich jaknajmniej zostało we Florencyi. (Wybuchy wesołości).

GIOVANNI (uderzając się po kolanie. Potem ze wzruszeniem): Chodźno tu, Leone!... To było świetne. Nie oprze się temu żaden Medici. Czekaj, weźno tego dukata, ty długonosy satyrze. Możesz mnie rzeźbić, jeśli ci to przyjemność sprawia. Idź, idź; lubię cię bardzo.

ALDOBRANDINO: Wszystko to ładnie i pięknie, ale po tem co zaszło, nie możesz przyjąć tego zamówienia?

GHINO: Nie mogę? A to dlaczego?

ALDOBRANDINO: Bez kwestyi. Zostałem obrażony. Przezemnie cały świat artystyczny a to wszystko za podżeganiem

brata. Niech mu tam dyabli książki ozdabiają, ale żaden z nas Musisz koniecznie odmówić.

GHINO: Ani myślę! Czyś oszalał? Co ci to w głowie? Wyrzekać się tak korzystnego zamówienia! Pan Miscomini z pewnością nie poskąpi honorarjum, wie dobrze, że ładnie zarobi na pismach brata Girolama. Po całym świecie się rozchodzą. Każdy je kupuje, każdy będzie oglądał moje drzeworyty. Przyniesie mi to sławę i dużo zamówień. Potrzeba mi ich do życia, mam obowiązki towarzyskie. Moja mała Ermellina musi także dostawać często prezenta, inaczej zdradzi mnie z pierwszym lepszym kramarzem... Przynosić jej muszę to czapeczkę jedwabną, to torebkę kosmetyków, jeśli chcę, by wpuściła mnie do siebie. Potrzebuję dużo pieniędzy i biorę je, gdzie się da.

ALDOBRANDINO: Zdrajco! Nie masz za grosza honoru! Wstydź się! Gardzę tobą z całej duszy!

GHINO: Głupstwo. Artystą jestem, wolnym artystą. Nie mam żadnych przekonań. Sztuką mą przyozdabiam wszystko, co mi dadzą, równie dobrze Boccacia jak i św. Tomasza z Akwinu. Mam przed sobą książkę, ta wywiera na mnie pewne wrażenie, i staram się je oddać, jak umiem. Poza tem niech tam brat Girolamo suszy sobie głowę i osądza.

ANDREUCCIO (w zamyśleniu): Ciężkie, bardzo ciężkie lecz wzniosłe zadanie mu poruczasz... Obowiązek sądzenia wszystkiego, co jest, co istnieje, obyczajów, życia całego... Odwagi trzeba na to, jak sądzę—i niezawisłości przekonań...

POLIZIANO: Niezawisłości, Andreuccio? Mąci ci się w głowie. Niezawisłym nazwał się Ghino i słusznie, bo wolnem jest tworzenie. Kto się urodził pod panowaniem Saturna, jest w wiecznej walce ze światem, jakimkolwiek on będzie. Ale lepiej zaiste krzesło jedno wyrzeźbić, stworzyć coś pięknego, niż po to tylko żyć, żeby sądzić.

PICO: Nie wiem! Jako zbieracz i miłośnik oceniam wszystko miarą rzadkości. We Florencyi legion cały ludzi zdolnych, którzy potrafią ładne krzesła wyrabiać, ale jeden tylko brat Girolamo...

POLIZIANO: Dowcipnię z was, dostojny Panie.

5.

PICO: Wcale nie, mówię całkiem poważnie! — Kto tam?

PIERLEONI (Zbliża się szybko ogrodem od strony pałacu, kiwając ręką. Długa szata przeszkadza mu w chodzie. Starzec siwobrody, ekscentrycznego usposobienia. W ubiorze

lekka skłonność do szarlataneryi i czarnoksięstwa. Na głowie czapka szpiczasta; w ręku krótka laseczka z kości słoniowej) Panie Angelo! Mistrzu Poliziano! Wzywa was!

POLIZIANO: Lorenzo! Spieszę!

PIERLEONI: Macie mu recytować. Przypomniał sobie ustęp jeden z waszego Rusticus i chce go od was usłyszeć.

PICO: A więc nie śpi, mistrzu Pierleoni? Czy przytomny?

PIERLEONI: Był nim przed chwilą. Ale Bóg raczy wiedzieć, czy nie zapomniał już o swem życzeniu i samym sobie.

POLIZIANO: A cóż napój? To lekarstwo destylowane z drogich kamieni? Czy pomogło?

PIERLEONI: Napój? Nadzwyczaj!... Nie mogę wprawdie twierdzić, by Lorenzowi pomógł, raczej przeciwnie. Ale temu, kto go zrobił, panu Lazzaro z Pawii, pomógł niesłychanie, bo mu przyniósł 500 skudów honoraryum.

GIOVANNI: (śmieje się.)

PIERLEONI: Śmiejecie się, Panie Giovanni, odpowiada to waszemu wesołemu usposobieniu. A mnie wściekłość porywa, ten ignorant, ten oszust z Pawii umknął bezkarnie. Po co go wzywano? Nikt mnie nie spytał. Zostałem pominięty. Kazał sobie dać ze skarbca dwie garście pereł i drogich kamieni, między niemi przeszło 35-cio karatowe dyamenty, połowę schował z pewnością do własnej kieszeni, drugą pokruszył i rozgotował i kazał naszemu Panu wypić, zupełnie nie zważając na konstelacyę gwiazd. Nie rozumie się nic na wpływach astralnych; ja żadnego proszku nie zapiszę, nie postawię pijawki, nie obliczywszy wprzód dokładnie stanowiska gwiazd...

PICO: Wyście wielki lekarz i uczony, mistrzu Pierleoni, przekonani jesteśmy, że mężowi temu wspaniałemu jaknajlepiej w waszej pieczy. Ale powiedzcie tylko, —pouczcie—wyzwólcie z tej niepewności! Jaka to choroba powaliła Lorenza? Nazwijcie ją po imieniu. W imieniu tyle bywa pociechy...

PIERLEONI: Oby nas pocieszyć raczyła, Panna Najświętsza! Imienia powiedzieć wam nie mogę, dostojny Panie! Bezimienną jest choroba ta, jak i troska nasza. Krótkie byłoby i straszne, gdyby je wymienić można.

PICO: Milczycie jak zaklęci, otaczacie się tajemnicą od chwili, jak przyjaciel mój padł na łoże. Zaklinam was, mówcie, czy jest w tem jakaś tajemnica?

PIERLEONI (złamany): Jaknajgłębsza!

PICO: Przyznam się wam do podejrzeń, które nie od dziś mnie trapią. Każdy walczyć musi z niemi. Lorenzo dużo ma wrogów, jak każdy mocny...

PIERLEONI: Mocnym nie był on nigdy. Żył przeciw własnej naturze.

PICO: Żył, jak Bóg jaki! Tryumfem było życie jego, świętem olimpijskiem! Potężnemu płomieniowi podobne, gorejącemu śmiało, królewsko ku niebiosom. W tem, dnia jednego płomień ten opadać poczyna, pryskać, dymić i kopcić, grozi zagaśnięciem... Mówmy otwarcie: widzieliśmy już podobne przykłady. Nie obce chwili obecnej niespodzianki takie. Słyszeliśmy o listach, o książkach, których czytanie przenosiło nic nie podejrzewającego odbiorcę w państwo cieniów, o lektykach, w które siada się zdrowym a wysiada chorym i okrytym trądem, o potrawach, do których hojna dłoń przyjaciela domieszała dyamentowego pyłu, wiekuistą sprawiającego niestrawność...

GIOVANNI: Prawda to, święta prawda! Ojciec mój zbyt był lekkomyślny pod tym względem. Nie powinno się brać nigdy udziału w uczcie u przyjaciela, nie wziąwszy na wszelki wypadek co najmniej własnego piwniczego i własnych win— zwłaszcza, że żaden gospodarz nie weźmie tego za złe. Słuszny to zwyczaj...

PICO: Mówcie więc otwarcie, przyjacielu mój Pierleoni! Mówmy jak między mężami! Czy się nie mylę? Gra tu rolę trucizna?

PIERLEONI (wymijająco): Trucizna... Jak kto rozumie! Jak kto rozumie!... dostojny Panie.... Wszak idziecie ze mną, mistrzu Angelo? (Odchodzi wśród ukłonów, za nim Poliziano, przechodzą szybko przez ogród).

6.

PICO: Diwny stary!

ALDOBRANDINO: Nie martwcie się, Eminencyo, drogi panie Giovanni. Jeśli dziwną jest ta choroba, dziwnem będzie i wyzdrowienie. Cudowne zdarzają się dziś uleczenia. Posłuchajcie tylko, co mnie raz spotkało. Może was rozerwie. Jak każdy delikatny i wrażliwy, często choruję; raz przed dwoma czy siedmiu laty blizki byłem już śmierci. Była to choroba nosa, wrzód jakiś we wnętrzu tego szlachetnego organu. Żaden lekarz nie umiał mi pomódz. Wszystkie zewnętrzne i wewnętrzne środki wyczerpały się. Próbowałem już nawet wilczych ekskrementów rozpuszczanych w ślimaczym tłuszczu z tłuczonym cynamonem a puszczanie krwi wyczerpało mię strasznie. Zamknęły się przewody ożywczego powietrza i myślałem, że przyjdzie mi zginąć marnie z zaduszenia. Wtedy w największej potrzebie zanieśli mię przyjaciele do mistrza

tajnych nauk Eratostenesa z Syrakuz, niezwykle zdolnego nekromanty, alchemika i lekarza. Ten zbadał mię dokładnie i nie rzekłszy ani słowa wsypał do tygielka jakichś pięć proszków i zapalił. Potem zamruczał zaklęcie jakieś i zostawił mnie samego w laboratoryum. Wówczas wywiązał się dym tak ostry i gryzący, że oddech mi zaparło, myślałem, że zginę na miejscu. Ostatkiem sił zerwałem się do drzwi, by uciec. Lecz gdy powstałem, napadło mię straszne kichanie, jakiego jeszcze w życiu nie doznałem i gdy wstrząsało mną od stóp do głowy, wyskoczyło mi z nosa jakieś zwierzę, robak czy polip, długości największego palca, wstrętnej nad wyraz postaci: obrośnięty włosem, prążkowany, oślizły i opatrzony mackami i szczypcami. Ale nos miałem wolny i wyszedłszy na świeże powietrze, uczułem, że jestem zdrów zupełnie.

PICO (rzuciwszy okiem w ogród na prawo): Słuchaj, Vannino, muszę cię opuścić, odchodzę. Widzę tam twego brata, Piera. Wiesz, że nie znoszę jego zachowania. Pozwól mi usunąć się. Spróbuję czy nie wpuszczą mnie do twego ojca. Bywaj zdrów, zobaczymy się jeszcze. Żegnajcie, Panowie! (Odchodzi.)

GIOVANNI: A cóż z tym robakiem, Aldobrandino, z tym polipem? Nie złapałeś go?

ALDOBRANDINO: Gdzież tam, uciekł. Schował się w szparę od podłogi i uciekł.

GIOVANNI: Szkoda! Byłbyś go może oswoił a nawet sztuk jakich nauczył...

7.

PIERO DE'MEDICI (zbliża się szybkim krokiem, boczną ścieżką z prawej. Wysoki, silny, zgrabny młodzieniec, lat 21, o gładkiem, proporcyonalnem, dumnem obliczu i ciemnych lokach, spadających gęstemi, miękkiemi splotami na ramiona. Zbrojny w sztylet i miecz, na głowie aksamitna czapeczka z agrafką i piórem, obwisły strój z niebieskiego jedwabiu, zamykany z przodu na wiele małych guzików. Postawa wyzywająca, głos donośny i pański, całe usposobienie nieokiełzane i gwałtowne). Giovanni! Nie pojmuję, gdzieś się podział! Szukam cię wszędzie!

GIOVANNI: No i znalazłeś, Piero, widzisz. Cóż przynosisz ciekawego?

PIERO: Widzę, żeś w towarzystwie... A — artyści! Dawnoście już tutaj?

GRIFONE: Z godzinkę, Ekscelencyo, maleńką godzinkę.

PIERO: Na razie jesteście tu niepotrzebni, sądzę! Jeśli

chcecie się pożegnać nikt, nie będzie wam przeszkadzał—(Tupiąc nogą). Wynoście się do dyabła!

ERCOLE: Pozwólcie nam odejść, najprzewielebniejszy panie Giovanni.

GIOVANNI: Idźcie z Bogiem, przyjaciele moi i zostańcie w pobliżu. Pewny jestem, że mój ojciec zechce was zobaczyć. Do widzenia, Aldobrandino, Grifone i ty Francesko. Nie gniewajcie się... Tak... (Odprowadza artystów i wraca): Źle robisz bardzo, Piero, obchodząc się w ten sposób z tymi dzielnymi ludźmi.

PIERO: Nie wiem, jak postępować inaczej z bufonami i tą całą artystyczną hołotą.

GIOVANNI: Widzisz, to źle właśnie. W każdym z nich jest zapewne coś z błazna i hołoty... ale i coś wyższego jeszcze, każdy z nich to mocarz, smak tłumu na nowe kierujący drogi, tworzący nowe źródła rozkoszy.

PIERO: Doprawdy! To mi majestatyczni mocarze! Taki Aldobrandino...

GIOVANNI: A tak, właśnie taki Aldobrandino! Przyznaję otwarcie, że najmilsze mi towarzystwo tego rodzaju. Humaniści to nudziarze, ateiści, a poeci po większej części biedacy i zarozumialcy, ale artyści, w to mi graj. Wykształceni a nie nudni, ładnie się ubierają, dużo w nich humoru, oryginalności i pewnego znalezienia się w świecie. Co za ruchliwość umysłu, jaka bujna fantazya! Nim odmówisz różaniec, zabije ci taki Aldobrandino trzech olbrzymów, spuści deszcz krwawy i wyda z siebie przy kichaniu jakiegoś potwora, ani chwili nie powątpiewając w prawdziwość tego, co baje...

PIERO: Nie zazdroszczę ci tej przyjemności. Ale mam z tobą pomówić sam na sam i dlatego pozwoliłem sobie wyprawić twych przyjaciół do dyabła.

GIOVANNI: Chcesz mówić ze mną? Nie mam pieniędzy, Piero!

PIERO: Nie kłam! Nigdy ci ich nie brak.

GIOVANNI: Na rany Chrystusa! Dużo miałem wydatków... instrumenta muzyczne i karzełek murzyn, najzabawniejsze stworzonko pod słońcem. Chcesz go zobaczyć? Chodź, to ci pokażę! Pocóż stać tu i mówić o pieniądzach...

PIERO: Potrzebuję ich. Musisz mi na krótki czas pożyczyć.

GIOVANNI: Nie mogę, Piero, doprawdy. Te trochę, co mam, muszę oszczędzać.

PIERO: Wasza Przewielebność zbiera zapewne na sedis-

wakancyę? Nie na was jeszcze kolej, dostojny książę Kościoła! Nie potraficie rywalizować z Roderygiem Borgia. Mówią, że tym kardynałom, których jeszcze nie potruł, posyła muły ze złotem, by Ducha św. pozyskać na swą stronę. Wasza Eminencya musi jeszcze zaczekać.

GIOVANNI: Co też ty pleciesz, Piero! Naturalnie, że muszę czekać jeszcze. Mam zaledwie lat siedmnaście. Wzrastanie symonii, to zresztą temat bardzo ciekawy, chętnie bym o tem z tobą pomówił...

PIERO: Potrzebuję więc sto dukatów, na zakupno konia, na którym chciałbym wystąpić na naszym najbliższym turnieju, drugiego dnia świąt wielkanocnych...

GIOVANNI: Sto dukatów! Lekkomyślnik z ciebie! Za jednego konia! Masz ich już tyle! A potem te głupie turnieje! Jak można tak się do tego zapalać! Pędzi się na siebie i ból sprawia, cóż w tem zabawnego? Czy czytałeś kiedy, żeby Scipio albo Cezar wyprawiali turnieje? Niebezpieczna głupota! Petrarca...

PIERO: Pluję na twego Petrarkę! Od płaczliwego wierszoklety nie będę się uczył rycerskości i eleganckiego życia. Bezpowrotnie minąć muszą te czasy, kiedy to książęta z Włoch i Europy patrzali na nas jak na kramarzy i wekslarzy; minęły już, odtąd umiemy nosić szyszak i robić włócznią. Dom nasz nie może zostać w tyle za żadnym innym dworem, a czemże dwory bez turniejów? Krótko mówiąc, dajesz sto dukatów, czy nie?

GIOVANNI: Nie, Piero, nic z tego. Dawać ci pieniądze, to napełniać beczki Danaid, nie gniewaj się. Roztrwaniasz wszystko z twymi kompanami i tłustemi krowami...

PIERO: Co? co?—z tłustemi krowami?

GIOVANNI: No tak, tak mówi się dziś we Florencyi. Nie idziesz widocznie z postępem czasu co do nowych wyrażeń. — A nadto jesteś tak dalece w rękach lichwiarzy, że nie wydasz nigdy fiorina, któryby nie kosztował cię ośmiu lirów. Chciałbym wiedzieć, jak się to skończy. Złe czasy nastały. Wiedzą o tem wróble na dachu, że od śmierci naszego dziada interesa gwałtownie podupadły. Banki w Lyonie i Brügge podobno zachwiane. Podają sobie z ucha do ucha, że bank depozytowy ograniczyć musiał wypłaty posagów córek mieszczańskich, a to dlatego, że ojciec wydał wielką część jego funduszów na urządzenie uroczystych obchodów i zakupno dzieł sztuki. Wielu ma mu to za złe...

PIERO: Za złe! Któż śmie szemrać? Stronnictwa poroz-

bijane, a uporni w więzieniu lub na wygnaniu. Myśmy tutaj panami! Dziś Lorenzo, jutro, pojutrze ja. Wtedy, wierz mi, koniec będzie kupczeniu temu. Jeśli banki zachwiane, niechaj sobie runą. Pomogę im jeszcze kopnięciem. Posiadłość ziemska, to najważniejsze. Musimy mieć coraz więcej ziemi. Myśmy książęta przecież. Karol francuski nazwał ojca naszego swym kochanym kuzynem, mnie bratem nazwać musi. Niech tylko panem zostanę. Niech tylko zacznę panować! Nie ostanie się żadna ustawa pozostawiająca ludowi cień choćby prawa a nas pozornie choćby krępująca. Żadnej szlachty nie będzie prócz nas. Konfiskaty! kary śmierci. Nie dość energicznie używał tych środków Lorenzo. Zaniedbał też małodusznie nadać stanowisku naszemu należnego tytułu. Ja nie chcę być pierwszym obywatelem Florencyi: wielkim księciem, królem Toskany chcę się nazywać!

GIOVANNI: Ach wasza dostojność, wasza wysokość jesteście pyszałkiem. Czy w tych wywodach cała polityka twoja? Czyś taki pewny, że Madonna Fiorenza obierze cię panem swym i kochankiem, gdy kiedyś, co niech Bóg zachowa, ojca nie stanie? Na ćwiczeniach gimnastycznych i zalotności rozumiesz się doskonale, ale krucho z twoją znajomością spraw publicznych. Czy wiesz, że brat Girolamo każe przeciw tobie? że lud nie może cię ścierpieć? że na pałacu przybito sonety wydrwiwające ciebie?...

PIERO: Słuchaj, mój mały, radzę Ci, nie irytuj mię! Dawaj sto dukatów, których potrzebuję a nauczki polityczne zachowaj dla siebie!

GIOVANNI: Nie, Piero; błogosławieństwa chętnie ci udzielę, bracie kochany, oto masz. Ale pieniędzy nie dostaniesz już więcej. Finis, podpis i pieczęć.

PIERO: Ty bałwanie! Sodomito! Świnio wyświęcona! Cóż przeszkadza mi właściwie wypoliczkować cię, ty małpo w purpurze.

GIOVANNI: Nic, boś gbur i nieokrzesany. Toteż odchodzę, by uniknąć twych grubjaństw. Znajdziesz mnie u ojca, gdybyś chciał prosić o przebaczenie. Bądź zdrów. (odchodzi ścieżką środkową).

PIERO: Idź, idź, ty cherlaku! Kardynale w mokrych pieluszkach! Obejdę się bez ciebie! Niezadługo będę panem a wtedy zobaczy zdruzgotany świat władcę i wydawać będzie okrzyki radości. Wozy... wozy... toczące się wieże... W pyle tłum lśniący, purpurowy kołysze się, wśród kobierców, zasłon, tłum pijany radością. Na wspinających się, rżących rumakach młodzieńcy

potrząsający włóczniami... w powietrzu geniusze sypiące róże... Scipio, Hannibal, zastęp cały Olimpijczyków, zstępujący, by hołd mi złożyć i zdobić tryumfalny pochód boskiego Piera... A na złocistym, jak skała wyniosłym wozie—ja, ja sam! U stóp kula ziemska, laur Cezarów na skroniach, a w ramionach mych ona... małżonka ma, sługa, rozkosznie zarumieniona niewolnica Fiorenza... Ach!—Ach! Wy tu Madonno?

8.

FIORE (nadeszła była ścieżką z prawej i staje w środku z rękoma złożonemi na piersi, głową w tył pochyloną i spuszczonymi oczyma, w postaci spokojnej, symetrycznej, pełnej, cichej i zagadkowej piękności.)

PIERO (postępując ku niej): Wyście to, Madonno?

FIORE: We własnej osobie, szlachetny Panie.

PIERO: Nie przeczuwałem obecności waszej. Tak byłem zamyślony.

FIORE: Zamyślony?

PIERO: Ale wyznać muszę, jak bardzo się cieszę, jaka to rozkosz dla mnie, że was tu spotykam.

FIORE: Zlitujcie się, zaklinam was. Kobietą jestem, a słowa takie z ust pięknego Piera zmieszać muszą każdą...

PIERO: Urocza Fiore! Cudna Anadyomene!

FIORE: Śmiały pochlebco! Gdy jadłam na deser konfitury przysłane nam przez Padyszacha, nie przypuszczałam, by mogło istnieć coś słodszego. Odkąd usłyszałam słowa wasze innego jestem zdania.

PIERO: Słodkie dziecię! Pójdźcie, porozmawiamy trochę Wy i ja... Chciałem powiedzieć... Chłodno się robi... Przechadzaliście się po ogrodzie, piękna Fiore?

FIORE: Zgadliście. Przechadzałam się wśród krzewów, spoglądając od czasu do czasu w pole, czy goście jacy nie jadą; zwłaszcza gość jeden, któryby wniósł trochę urozmaicenia do tej monotonnej willi...

PIERO: Pewnie... pewnie... rozumiem doskonale, piękna Pani, że pragniecie urozmaicenia! Nic nudniejszego, jak ten pobyt na wsi, odkąd Lorenzo wpadł na fatalny pomysł położenia się do łóżka... Dziwi mię tylko, mówiąc między nami, że pierwej już nie przyszła Wam ochota do tego.

FIORE: Jakto rozumiecie, panie Piero?

PIERO: Sądzę... wydaje mi się, słodka Fiore, że daleko nie potrzebowalibyście szukać, by znaleźć... człowieka, gotowego do podjęcia się słodkich obowiązków, którym ojciec mój

od pewnego czasu, zdaje się, podołać nie może. Piękność wasza kwitnie bezpożytecznie, usta wasze, łono wasze osierocone... Bądźcie pewni, że nie was jednych to martwi. Otwórzcie piękne swe oczy a ujrzycie kogoś, kto pragnie z całej duszy we wszystkiem być Wam usłużnym.

FIORE: Wybaczcie, ale widok to zbyt mało ciekawy, by skusić mię do podniesienia oczu. Każdy mnie pożąda. Czy mówicie to w nadziei pozyskania mię?

PIERO: W nadziei? Czyż ja młodzieniaszek jaki? Niedoświadczony szermierz w szrankach miłości? Chcę cię posiąść i posiądę, ty boska...

FIORE (podnosi powoli oczy i patrzy nań z wyrazem nieskończonej pogardy): Gdybyście wiedzieli, jak mnie nudzicie.

PIERO: Co mówicie? Zapomnicie o nudach w ramionach moich.

FIORE (drwiąco): Nie chcę być twoją, Piero de'Medici.

PIERO: Nie chcecie? Dlaczego? Silny jestem, nie będziecie się uskarżać. Najdzikszego rumaka poskramiam kolanami bez siodła i wędzidła. Najlepszych zapaśników italskich w grze w piłkę, gonitwie i walce na pięści, wyzwałem w szranki —i widzieliście, że dałem im rady. Gdy spoczywać będziesz u boku mego, słodka Fiore, opowiadać ci będę o zwycięstwach moich w gimnazyach Erosa.

FIORE: Nie chcę być twoją, Piero de'Medici!

PIERO: Na wszystkie piekła, czy to znaczy, że gardzicie mną?!

FIORE: To znaczy, że nudzicie mnie nieskończenie.

PIERO: Słuchajcie, Madonno, mówię do was jak do damy, której czar i wykształcenie zasługują na względy, ale nie myślę bynajmniej żebrać o miłość waszą, tak jak jakiej szanowanej, skromnej mieszczanki. Jeśli chcecie opór mi stawiać, zwiększy to tylko rozkosz moją, ale nie wymagajcie, proszę, bym wzbranianie się wasze brał poważnie. Kimże jesteście, Wy co zdajecie się opierać życzeniam moim? Krew w was szlachecka, florentyńska, ale bez błogosławieństwa kapłańskiego zrodził was ojciec i na wygnaniu życie zakończył za spiski z Luką Pittim. Wy żyjecie, rozkoszą ludzi darząc w służbie Afrodyty i dla rozkoszy swej wybrał was sobie Lorenzo w czasie zabaw Ferraryjskich. Nie wątpicie chyba, że i Piero potrafi po książęcemu płacić za pieszczoty wasze, tak jak i ojciec jego...

FIORE: Nie chcę być twoją, Piero de'Medici.

PIERO (w szale): A czyjąż? Czyjąż więc? Innego masz już kochanka, ty bezwstydna zalotnico?

FIORE: Do bohatera tylko należeć będę, Piero de'Medici.

PIERO: Do bohatera? Jam bohater! Wie o tem Italia cała!

FIORE: Tyś nie bohater, tyś silny tylko. Nudzisz mnie zresztą.

PIERO: Silny tylko? Silny? Czyż ten, kto ma moc, nie jest bohaterem?

FIORE: Nie, ten kto słaby ciałem, a duchem tak potężny, że laur zdobyć może—ten bohaterem.

PIERO: Oddałaś się ojcu memu—czyż on bohater?

FIORE: Jest nim. Ale inny mąż powstał by wydrzeć mu wieniec.

PIERO: Ciebie? ciebie? Ja cię mieć muszę! Gdzież on, gdzież ten cherlak o potężnym duchu, bym zadrwić mógł z niego i w dwóch palcach zdusić...

FIORE: Przyjdzie tu, zrobiłam to, że przyjdzie. Niech staną naprzeciw siebie. Pokaże się wtedy, do kogo należeć będę. A ty precz stąd, gdy walczą bohatery!

PIERO (z wściekłością i bolem): Ja cię mieć muszę, ty słodka, zuchwała, ty kwiecie świata tego!...

FIORE: Nie będziesz miał. Nudzisz mnie. Ustąp się, odejść chcę i oczekiwać rywala ojca twego.

AKT TRZECI.

Komnata przytykająca do sypialni Magnifika. W głębi na lewo poza ciężką, nawpół odchyloną kotarą widać łoże, resztę tylnej ściany zajmują stopnie prowadzące na galerye. Z lewej w środku monumentalny kominek z marmuru, ozdobiony płaskorzeźbami, filarami i herbem Medyceuszów (kule). Przed nim krzesła. Z przodu na lewo półka ze starożytnemi wazami, na prawo drzwi zasłonięte kobiercem, przetykanym złotem. W tyle na prawo przysłonięte okno. Między drzwiami a oknem, na postumencie wysuniętym nieco na komnatę, biust Juliusza Cezara. Mniejsze biusty, u dołu równo ścięte, nad kominkiem i na półce ponad drzwiami. W ściany komnaty wpuszczane smukłe kolumny. Przez przysłonięte okno wkrada się przyćmione światło popołudniowe.

1.

W głębokim fotelu przed kominkiem siedzi LORENZO DE'MEDICI. Śpi z głową pochyloną na piersi, oparty o poduszkę, z okrytemi kolanami. Twarz brzydka, cery oliwkowej, o ponurym wyrazie wywołanym głęboką zmarszczką między brwiami. Na szerokiem, płaskiem obliczu wklęsły nos i wielkie wydatne usta. Policzki przecięte od nosa ku wychudłej brodzie dwiema głębokiemi obwisłemi bruzdami, tem widoczniejszemi że usta ma ciągle otwarte, nie mogąc oddychać nosem. Po przebudzeniu wzrok jego, mimo osłabienia jasny i palący, zdaje się obejmować pewnem i gorącem spojrzeniem ludzi i przedmioty; wysokie, zajmujące czoło tryumfuje nad brzydotą rysów; w ruchu każdym, nawet w chwili podniecenia skończona dystynkcya. Wyniszczona twarz nabiera chwilami wyrazu ujmująco niewinnej radości, który zdaje się ją uszlachetniać i nadawać dziecięcego piętna. Odziany w szeroką, fałdzistą szatę, obszytą futrem, zapiętą wysoko u krótkiej szyi. Ciemne włosy przetykane srebrnemi nitkami, w środku rozdzielone, spadają fałdzisto na kark i policzki. Mówi z akcentem artystycznym choć przez nos. W komnacie znajdują się: PICO DELLA MIRANDOLA, POLIZIANO, PIERLEONI, MARSILIO FICINO i MESSER LUIGI PULCI. W środku siedzi w otoczeniu innych w fałdzistej wysoko zapię-

tej szacie stary FICINO, o wychudłej twarzy uczonego, cienkiej szyji i białych lokach wymykających się tu i ówdzie z pod stożkowatej czapki. PULCI, typ humorystyczny, czerwone popodbijane oczka, śpiczasty nos, odstające uszy, wątrobiana plama na twarzy, spogląda wraz z innymi na twarz Lorenza trzymając palec przy ustach.

PIERLEONI: (zbliża się ostrożnie do chorego i bierze go za puls): Puls przyspieszony i nierówny. Zastanawiam się, czy nie pora puścić znów krew Jego Magnificencyi.

PICO: Zabijecie go jeszcze! Niema dwunastu godzin, jak upuściliście mu całą miednicę krwi.

PIERLEONI: Człowiek nie potrzebuje ani dziesiątej części tej krwi, co w sobie dźwiga.

POLIZIANO: Gdzie przebywa teraz dusza jego? W obcej zdaje się krainie, zdala od naszych. Posłuchałbym chętnie zdania waszego, kochany Marsiliuszu!

FICINO: W tej chwili nastąpiło prawdopodobnie w duszy jego zetknięcie z boską istotą.

PULCI (zniżając swój krzykliwy i dziwnie złamany głos): Patrzcie, patrzcie no, co się dzieje na jego twarzy! Założyłbym się, że ma sny najdziwaczniejsze. Zazdroszczę mu, jeśli nie czuje bolu. Gorączka przynosi najfantastyczniejsze marzenia, o wiele piękniejsze niż najlepsze wino. Czasami śni się wierszami, ale prędko się je zapomina...

PIERLEONI: Ten sen nie należy do tych, z których płyną źródła sił żywotnych. Jeśli omdlenie potrwa dłużej, trzeba będzie potrzymać Magnificencyi małe palce u rąk i nóg a ja natrę mu serce i pulsa olejem, który mam przy sobie w pogotowiu.

PICO: Cicho! Poruszył się, budzi się!

PULCI Zdradzi nam zaraz coś ze swoich przygód...

FICINO: Poznajesz nas, drogi mój uczniu Laurencyuszu?

LORENZO: Pić..! (Podają mu wodę)

LORENZO: Woziwoda miał trupią głowę...

PICO: Jaki woziwoda, mój Lauro?

LORENZO: A — to ty... Angelo? Dobrze, dobrze, spróbuję przezwyciężyć się. Czyż nie sposób zapanować nad temi głupstwami? Spotkałem woziwodę z objuczonym osłem i pełnymi dzbanami—lecz gdy przytknąć chciałem do spragnionych ust drewniany kubek, ujrzałem ogień a na karku tego łotra siedziała trupia głowa.

PULCI: No, nieszczególny to pomysł.

LORENZO (poznając go) Dzień dobry, Morgante. Tyś tu,

stary urwiszu? I ty mój Pico, o lokach ambrozyjskich? A nawet i sam wielki Marsiliusz, dziewosłęb i pośrednik mój między mną a wiedzą? Jesteście przy mnie, prawda, przyjaciele moi? Ten straszny starzec był tylko w krwi mojej...

PULCI: Jaki straszny starzec?

LORENZO: Ach nic, nic, głupstwo! Niesmaczne głupstwo! Miałem taki przykry sen o łysym starcu, który chciał wciągnąć mnie do swej spróchniałej łodzi...

POLIZIANO (wzruszony): Charon...

LORENZO: Spałem... Która to godzina?

PICO: Zdrzemnąłeś się trochę. Osiemnasta już. Słońce poczyna zniżać się coraz szybciej.

LORENZO: Coraz szybciej? (z nagłym niepokojem) Słuchajcie, przyjaciele, chciałbym mieć swój fotel. Tak tu duszno —zanieście mnie... zanieście na loggię, albo na górę na basztę...

PIERLEONI: To nie dobrze, mój najlepszy, najłaskawszy Panie. Potrzebujecie spokoju.

LORENZO: Spokoju... brak mi go. Dlaczego mi go brak, doktorze? Dlaczego wydaje mi się, że muszę mieć skupioną uwagę i wiele załatwić jeszcze, nim będzie zapóźno?...

PIERLEONI: Macie trochę gorączki, dostojny Panie!

LORENZO: Nie przeczę. Twierdzę tylko, że nie powód to jeszcze, by miał mię trapić taki lęk dziwny. Widzicie, myślę zupełnie logicznie. Ale nie ukrywam bynajmniej, że ciężka troska mnie trapi. Nigdy nie udawałem... Pico... Prawda Pico, we Florencyi niema już żadnych Pazzich? A Neroni Diotisalvi także na wygnaniu lub w miejscu bezpiecznem?

PULCI: O ileś, ich nie wyprawił gryźć ziemię!

LORENZO: Chodźno bliżej Margutte! Dowcipkuj dalej, ty dziwaczny rapsodzie!... Dużo krwi się polało, to prawda—Polać się musiało.—Proszę cię, Pico, nie mogę dopilnować sam zbiorów w ulicy Szerokiej i po willach. Zrobisz to za mnie, prawda? Przybyło kilka ładnych drobnostek: dwie terrakoty i jeden medalion, mają być umieszczone w Poggia a Cajano, rozumiesz, mój drogi? Otrzymałem w podarunku od Sforzy z Pesaro wspaniały antyk: zbrojnego Aresa, ma on być ustawiony w moim ogrodzie miejskim, by służyć za wzór młodym rzeźbiarzom. Zajmiesz się tem, prawda? Dzięki! To mię tylko niepokoiło.—Czy Angelo jeszcze tutaj?

POLIZIANO: Jestem, mój Lauro!

LORENZO: Angelo, Pliniusz, którego nabył mój dziad w klasztorze w Lubece, jest w ratuszu, prawda? — Chciałbym go widzieć. Oprawny w czerwony aksamit ze srebrnem okuciem.

Poszlij zaraz kogoś zaufanego... Albo nie, zaczekaj! Zdaje mi się, że to nie tak pilne, jak to, co mi właśnie na myśl przychodzi. Czekaj... Jeden z moich szpiegów ofiarowywał mi manuskrypt Katona za pięćset złotych. Nie jestem tylko pewny, czy prawdziwy. Zdarza się nieraz, że oszust jakiś sprzedaje pod nazwiskiem starożytnem płody swego własnego umysłu. Zbadaj, proszę cię, ten manuskrypt najdokładniej, i jeżeli autentyczny, nabądź go bez targu. Niech nie mówią potem, że wypuściłem z ręki Katona... Czy mogę cię tem obarczyć?—Zdjąłeś mi kamień z serca! Lekko mi teraz, przyjaciele moi. Nic mnie już nie przygniata. Pogawędźmy trochę, podysputujmy! Mirandola, kto był większy: Scipio czy Cezar? Ja twierdzę, że Cezar, zobaczycie zaraz, jak będę bronił swego zdania! Ale może nasz wielki Marsiliusz Ficinus woli temat bardziej abstrakcyjny?

FICINO: Daj odpocząć swemu umysłowi, Lorencyuszu! Zmęczysz się zanadto.

LORENZO: Wiedza warta tego, by ostatek sił jej poświęcić. Tyle jeszcze do wyjaśnienia... Zdało mi się nieraz, że wszystko jasne już dla mnie i otwarte, a teraz znów ciemność tylko i zamieszanie. Co myśleć o nieśmiertelności duszy? Co jest właściwie na tem?

PULCI: Stara to kwestya i drażliwa—nie da się tak ex abrupto załatwić! Mówią, że sam Arystoteles jeszcze i w państwie cieniów wykręcał się od niej dwuznacznikami, żeby się nie skompromitować, mimo że umarł był bez kwestyi, a wciąż żył jeszcze. Niechże tu ktoś będzie teraz mądry z dzieł jego!

LORENZO (śmiejąc się): To dobre!.. Ale mów ty teraz, Angelo, mów poważnie!

POLIZIANO: Tyś nieśmiertelny, mój Lauro! Czyż potrzebuję ci to powtarzać? Nie każdy jest nim—tłum nizki i człowiek mały, nieznany. Ty weźmiesz udział w wiecznej szczęśliwości pospołu z duchami uwieńczonymi wawrzynem!

LORENZO: Dlaczego ja właśnie?

PICO: Na niebieskooką Atenę! Stworzyłeś przecież pieśni karnawałowe, których nie wahałem się nigdy wyżej stawiać od wielkiego poematu Alighiera!

FICINO: Nie zapominaj o tem, że boskiego jesteś pochodzenia. Te sześć kul w twoim herbie oznaczają jabłka Heseryd, z których ogrodu ród twój się wywodzi.

POLIZIANO: Godnie cię tam przyjmą, śpiewaku »Nencyi«, Ojcze ojczyzny! Wszyscy wyjdą na spotkanie twoje: Cicero, Fabiusze, Curiusz, Fabriciusz i wielu innych, otoczą cię

radośnie i wprowadzą do przybytku sławy, gdzie muzyka sfer rozbrzmiewa.

LORENZO: To poezya, przyjacielu, poezya! Piękno! ale nie wiedza, nie pociecha!...

PULCI: Tak, tak, słaba trochę ta wasza muzyka sfer, mistrzu Poliziano! Słabo mi się robi od niej. Nie umieraj Lauro, to nonsens! Czyż nie znasz odpowiedzi Achillesa, gdy Odysseusz odwiedził go w Hadesie i pytał jak mu się tam powodzi? »Zapewniam cię«, — powiedział — »że my zmarli żywimy najgorętsze pragnienie powrotu do życia cielesnego«. Ciało, mój kochany! Ciało, to najważniejsze! Nie zastąpi go żadna harmonia sfer!... Daruj... Czy ci gorzej?

LORENZO (bardzo blady): Doktorze... tak mi zimno koło serca... Słyszycie?... straszno mi... Ratujcie! To śmierć... Czemu siły opuszczają nagle mózg mój i wnętrzności?... Zginąłem... jużem stracony... Otrzyjcie mi pot... Nie gardźcie mną! Duch mój silny a strach ten tylko w ciele mojem.

PIERLEONI: To nic. Wypijcie ten kubek greckiego wina. — Prosiłem Magnificencyę tyle razy, by znów położył się do łóżka!

LORENZO: Jeśli chcecie, bym mógł oddychać, zostawcie mnie w fotelu. Muszę widzieć koło siebie tych, którzy mnie kochają. Muszę słyszeć wasz głos. Śmierć jest straszna, mój Pico! Nie możesz pojąć tego. Nikt z nas nie może, prócz mnie, który muszę umierać. Tak gorąco kochałem życie, że w śmierci jeszcze widziałem tryumf jego. Poezya w tem była i przesada... minęło to, zawiodło! Ujrzałem przed sobą zniszczenie, straszną zgniliznę zniszczenia... Prędko, Ficino, prędko, mój stary, mądry Ficino! Jak to uczyłeś mnie znosić mężnie śmierć? Zapomniałem. Co jest najwyższą prawdą, Ficino?

FICINO: Uczyłem cię, że idea platońska i pierwiastek Arystotelesowy to jedno i tosamo: dusza czująca, tertia essentia ciał ludzkich, która w człowieku, tym mikrokosmie stworzenia, tem różni się od duszy intellektualnej, że...

LORENZO: Czekaj, powoli! W głowie mi się mąci... Kiedyś rozumiałem to, odczuwałem być może. Ale dziś napróżno odczuć usiłuję. Zmęczony jestem. Pragnę objąć umysłem coś prostszego. Piekło prostsze niż Plato, przyznać musisz, Marsiliuszu!... Czy to nie Franciszkanin był u mnie dziś rano?

POLIZIANO: Tak, mój drogi, z tego zakonu był twój spowiednik.

LORENZO: Urwisz jakiś. Sprytna sztuka. Wstydziłem się trochę przed nim, brać to wszystko zbyt poważnie. Gdy częstował mię swymi sakramentami, wystąpiłem z kilku zgrabnymi

frazesami florentyńskiemi, a on uśmiechnął się na to, jak skończony światowiec. Przyznam się, że cała ta ceremonia nie wpłynęła na mnie zbyt uspakajająco. Zbyt grzeczny był ten pater. Przebaczył mi wszystkie grzechy, jakby były dzieciństwem. Ale wątpię, czy tam w górze ma absolucya ta pełne znaczenie. Gdybym się był przyznał do zabicia ojca lub matki, byłby był z całą uprzejmością i na tem położył swój krzyżyk. Nic dziwnego, jestem panem. Gdy blizki koniec, źle to być panem, któremu nikt sprzeciwić się nie ośmieli. Takiego spowiednika mi trzeba, któryby tem był jako kapłan, czem ja jako grzesznik i szyderca... Co mówią oczy twe, Pico? Myślisz o czemś. Ukrywasz coś przedemną.

PICO: Cóżby mój Lorenzo?

LORENZO: Myślisz o kapłanie, któryby godny był być spowiednikiem moim, któryby odważył się mnie potępić, który już się odważył, Pico...

PICO: O jakim kapłanie —?

LORENZO: O kapłanie... Jakto jest, Marsiliuszu? O platońskiej idei kapłana, która przybrała wolę i postać...

POLIZIANO (szybko): Mój drogi, myśl, proszę cię, o czemś weselszem! Trapisz się myślami niegodnemi ciebie. Nie zapominaj się, Lorenzo de'Medici!

LORENZO: Nie lękaj się! Dziękuję, ci Angelo, już mi lepiej. Weselmy się. Śmiejmy. Śmiech to blask duszy, powiedział któryś ze starożytnych. Niech dusze nasze zabłysną wspomnieniem tego, co było.

PICO: I znów powróci.

LORENZO: Wystarczy, że było. Pora to naszej zwykłej przechadzki do źródła. Pamiętacie? Układaliśmy się w koło na bujnej murawie. Strumyk szemrał dziecinnie pośród nas. Każdy opowiadał nowellę jakąś i tak schodził nam czas do wieczerzy.

PICO: Cudne to były chwile! Byliśmy pełni podziwu dla ciebie. Rano wypracowałeś może jakąś nową ustawę, zmierzającą do oddania władzy państwowej jeszcze bardziej w twoje ręce, by jeszcze więcej uszczęśliwić Florencyę pięknem i weselem, wydałeś może wyrok śmierci na jednego z twych szlacheckich wrogów, dysputowałeś o cnocie w platońskiej akademii, przodowałeś przy uczcie w gronie artystów i miłych kobiet, rozwiązywałeś przy stole teoretyczne zagadnienia ze sztuki i poezyi... Duszą całą brałeś udział w tem wszystkiem, a teraz uczestniczyłeś w wieczornych rozrywkach umysłów naszych, tak żywo i świeżo, jakbyś był nic z sił swoich nie wydał.

PIERLEONI: Tak, tak, nie szczędziłeś sił swoich, dostojny Panie!

LORENZO: Doprawdy, mój doktorze, co się znasz na gwiazdach? Zmuszałem je do służby mimo gwiazd i losu, który oddał mnie pod twoją troskliwą opiekę? Tak, żyłem, żyłem! Przypomnijcie sobie, przypomnijcie, przyjaciele moi! Pamiętacie te upajające noce gwiaździste, kiedy to wstawaliśmy od wina, ty, Pico, Luigi, Angelo, i wy—szalony Ugolini i Cardiere czuły muzykant i wszyscy inni, kiedy wśród tańca i dźwięku lutni przebiegaliśmy w śnie pogrążone ulice, śpiewem naszym żar rozniecając w sercach dziewcząt.

POLIZIANO (z zapałem): Alkibiades!

LORENZO: A karnawał, przypomnijcie sobie karnawał! Kiedy rozszalała rozkosz zrywała tamy życia codziennego, kiedy wino strugami płynęło po ulicach a na placach lud tańczył, śpiewając radośnie pieśni, przezemnie ułożone, kiedy Bóstwo zawładnęło Florencyą a powaga mężów i wstydliwość niewiast szalała w namiętnem Evoe; kiedy dzieci nawet święty szał ogarniał rozpalając przed czasem miłością ich zmysły....

POLIZIANO: Tyś był tym Dyonizosem!

LORENZO: A państwo całe było mojem! A panowanie ducha mego wzrastało! a gorąca tęsknota moja zapalała kobiety i oddawały mi się, robiąc mnie słabego, szkaradnego panem swej piękności...

PICO: Władco Piękna — tem mianem cię pozdrawiamy! Nie mów, że to już przeszło!

LORENZO (po chwili milczenia, wskazując głową poza siebie): Ktoś pragnie wejść.

PAŹ (w połowie schodów): Pan Niccolo Cambi z Florencyi, prosi o wpuszczenie do Waszej Wspaniałości.

PIERLEONI: Magnifiko nie przyjmuje nikogo.

LORENZO: Dlaczego? Niccolo to mój przyjaciel. Przybywa z Florencyi—już mi lepiej. Chcę go widzieć.

2.

Paź wprowadza kupca Niccola Cambi po schodach z galeryi do komnaty, prowadzi go do Lorenza i skłoniwszy się odchodzi. Cambi, poważny mieszczanin, odziany dostatnio, nieco otyły, o inteligentnym typie florenckim. Obuwie i pończochy okryte kurzem, na ciemnej szacie jasno-popielatý płaszcz.

LORENZO: A, pan Niccolo, jaki miły gość! Nie bierzcie mi za złe, że nie wstaję. Czuję się trochę niezdrów.

CAMBI: Jakżem szczęśliw, że was widzę! wasz głos słyszę! Lżej mi na sercu!... Witajcie panowie! Wy przedewszystkiem najdostojniejszy książę! i wy Messer Pulci, mistrzu An-

gelo! mistrzu Poliziano!... Na Boga! i samego wielkiego tłómacza Platona wolno mi powitać! Panie Pierleoni!... Jakżem szczęśliw, że Was widzę, Magnifiko, że Was słyszę, czuję ciepły uścisk Waszej dłoni!

LORENZO: Toście się już nie spodziewali tego?

CAMBI: Gdzieżby! Cóż znowu! Jakżeby!

LORENZO: Siadajcie! Bliżej! Przybyliście tu konno, zgrzani jesteście. Spieszyliście się bardzo? Interes jakiś? Zlecenie z miasta?

CAMBI: Gdzież tam! Czyż trzeba mieć dopiero interes lub zlecenie dla Was, by pragnąć Was widzieć? Spojrzeć na Was chwileczkę, miłość swą Wam okazać i Waszej się upewnić — oto mój interes. A zlecenie: głosić we Florencyi po wszystkich ulicach, żeście zdrowi i wkrótce będzie można obchodzić uroczyście dzień waszego wyzdrowienia.

LORENZO: To Florencyę obchodzi moja choroba?

CAMBI: Spodziewam się! W każdym razie nie zachowuje się wobec niej obojętnie! Haha! Magnifiko pyta trochę naiwnie!... Ale pokażę ja tam łotrom, co śmią niepokoić ją niepotrzebnie i głuche wieści rozsiewać wśród ludu!...

LORENZO: Więc są tacy?

CAMBI: Są, są! I dobrze zrobilibyście Magnifiko, gdybyście stłumili w zarodku te nikczemne knowania! Widzę, żeście na nogach, żeście nie w łóżku!... nie moglibyście przybyć do Florencyi? Choćby na godzinkę? Choć na chwilkę pokazać się w oknie swego pałacu?!

LORENZO: Panie Niccolo Cambi, co dzieje się we Florencyi?

CAMBI: Ach nic, nic! Niechże Bóg uchowa! Panie Pierleoni.... nie w porę tu przyszedłem... Życzycie sobie, bym odszedł?

LORENZO: Moje życzenie tu rozstrzyga i moja wola!— (z wymuszoną uprzejmością) Byłbym wam bardzo zobowiązany, zacny panie Niccolo, gdybyście zechcieli mówi krótko i otwarcie.

CAMBI: Dobrze więc! Bo i do kogoż się udać, z kim się podzielić tą troską i obawą, jak nie z Wami!... Nie wszystko we Florencyi tak jak być powinno, Magnifiko! Słychać o nikczemnych planach. Wiemy dobrze, skąd pochodzą te wieści, że już nie żyjecie a przynajmniej chorzy nieuleczalnie: od mnichów, tych Płaczków, zauszników Ferraryjczyka...

LORENZO (który drgnął na wspomnienie tego imienia, z wymuszoną obojętnością): Uważaj Pico! Mowa tu o twojem odkryciu, o naszym mnichu.

CAMBI: A tak, wybaczcie najdostojniejszy książę! Wiem że go protegujecie, że pierwszy zwróciliście uwagę na niezwy-

kłą działalność, wiem o tem! Nie sądźcie, bym nie umiał ocenić zdolności jego. Nie jestem tak zacofany. Występy jego, to niezawodnie przysmak dla zepsutego i nieuprzedzonego podniebienia. Nie o nim mówię, tylko o skutkach jego działalności — może nie zamierzonych...

POLIZIANO: Tak sądzicie?

CAMBI: Ale lud, lud, Magnifiko! Można się śmiać z tego, że eleganckie młodziki z szlacheckich domów wyrzekają się tańca, śpiewu i rozkoszy i idą do klasztoru! Ale lud! Dzień cały bez celu na ulicy, ponurym wzrokiem spogląda na piękne pałace bogatych obywateli, i nie umie sobie inaczej poradzić, jak cisnąć się do katedry na kazania — milczący, zbity tłum wzburzony wewnętrznie, morze głów zwróconych ku górze, ku wychudłemu mnichowi. A gdy ten wróci w tryumfie do San Marco, lud gromadzi się znów po ulicach, uparty i milczący. Przed domem pana Guidi, kanclerza miejskiego archiwum i zarządcy długów państwowych, Miniati, przyszło do zaburzeń, złorzeczono im, bo brat Girolamo nazwał obu narzędziami Waszymi, Magnifiko, waszymi chytrymi doradcami, gdy chodzi o wyduszenie z ludu nowych podatków na rozkoszne zabawy. Dzieją się rzeczy barbarzyńskie i zuchwałe. Przed opuszczeniem Florencyi słyszałem, że kilku rzemieślników wpadło do domu jakiegoś bogatego obywatela, miłośnika sztuki i rozbiło w przedsionku posąg..... (Wszyscy wydają okrzyk boleści.)

LORENZO: Cicho... Czy antyk?

CAMBI: Nie, ma to być rzecz nowoczesna, nie wielkiej wartości. Ale jeszcze coś usłyszeć musicie, Magnifiko! Przed pałacem były cały dzień demonstracye. Byłem wtedy na placu, wszystko widziałem. Wśród ludu odzywały się okrzyki, których byłbym był wolał nie słyszeć, nie rozumieć. Brzmiało to jakby: Precz z kulami!

POLIZIANO: To zdrada! Nikczemna zdrada!

PICO: Upodobanie w politycznem krzykactwie, nic więcej! Pikami ich rozpędzić!

CAMBI: I jeszcze jeden okrzyk wydarł się tam, dziwny, nigdy nie słyszany,—raz, dwa razy, a potem ciągle. Nie rozumiałem go, jak wiecie, na jedno ucho źle słyszę. Lecz, gdy pilne się wsłuchałem, zrozumiałem wreszcie, wołano: »Niech żyje Chrystus!« (Milczenie.)

CAMBI: Milczycie, Magnifiko...

LORENZO: Jak wołali?

CAMBI: Na wasz herb?

LORENZO: Nie, potem.

CAMBI: »Niech żyje Chrystus!« (Milczenie. Lorenzo opadł głęboko na poduszki; oczy ma zamknięte).

PIERLEONI: Idźcie już, Panie! Idźcie, na Boga! Widzicie, jaki wyczerpany!

LORENZO: Idź, przyjacielu... nie, nie gniewam się,... idź, idź... powiedz Florencyi... Nie, nic nie mów! To kobieta, trzeba bardzo uważać, co się jej mówi lub każe powiedzieć. Biega to za tobą i tęskni namiętnie, gdyś zimny i silny, a gardzi, gdy się zdradzisz z miłością. Idź, idź przyjacielu, nic nie mów! Powiedz, że zdrów jestem i śmieję się z tego, co słyszałem!

CAMBI: Powiem to, powiem z pewnością! Na Bacchusa! Dobre to zlecenie! A teraz bywajcie mi zdrowi—Laurencyuszu Medici! A wracajcie jak najprędzej do Florencyi! Żegnajcie! (spiesznie wychodzi).

3.

LORENZO (po chwili): Pico...

PICO: Jestem tu, mój Lorenzo.

LORENZO: Popatrz mi w oczy... zmieszanyś trochę, zdaje mi się mój kochany Pico. Cóż ty na to?

PICO: Bynajmniej. I dlaczegóżby? Lud szaleje, innym trochę szałem niż ten, w jaki ty go tak długi czas wprawiałeś. Poleć Bargellowi, niech go na swój sposób przyprowadzi do przytomności.

LORENZO: Pico! Mecenasie! Wybredny smakoszu! Katów wzywasz przeciw duchowi ludzkiemu? To niełądnie!

PICO: Rada to tylko, jak każda inna! Zbliż się do niego! Staraj się go oczarować! Czy myślisz, że ten ciasny samotny umysł oprzeć się zdoła urokowi przyjaźni twojej?

LORENZO: Oprze się, mówię ci! Już raz się oparł! Lepiej go znam niż ty, którego ciekawości odkrycie jego zawdzięczamy. Nienawiści pełen i nizkiego uporu... Zdolności nie robią go uprzejmym i wesołym — tylko jeszcze bardziej zawziętym. Rozumiesz? Nie przyszedł do mnie gdy został przeorem — w tym samym San Marco, który dziad mój zbudował. Stawiał mi milczący opór, ufając w niezależność kapłańską. Pomyślałem: oto przychodzi obcy człowiek do mego domu i nie raczy mnie nawet odwiedzić! Milczałem jednak. Ramionami wzruszyłem na ten brak grzeczności u człowieka nizkiego. Łżył mnie z kazalnicy, skrycie i po imieniu, a ja poszedłem, nie wiesz o tem, poszedłem go odwiedzić. Nie raz, bywało, słuchałem mszy w San Marco, a potem zatrzymywałem się z godzinkę w ogrodzie klasztornym, czekając, by mnie powitał. Myślisz, że

przerwał swą literacką pracę, by dotrzymać towarzystwa gościowi, więcej niż gościowi? Posunąłem się nawet dalej. Nie przyzwyczajonym do tego, by ludzie usuwali się przedemną. Posyłałem klasztorowi podarki i jałmużny. Przyjmował jako dowód uległości i nie dziękował nawet. Znajdował za moją sprawą złoto w swej skarbonie. Oddawał je jałmużnikom w San Martino, mówiąc, że miedź i srebro wystarczają zupełnie na potrzeby klasztoru... Rozumiesz teraz? Wojny chce, otwartej nieprzyjaźni... Przyjmuje hołdy i ubiegania się o względy a w zamian za to nie daje nic. Nie daje się zawstydzić. Powodzenie nie robi go szczęśliwym, nie usposabia pojednawczo. Żebrakiem przybył do Florencyi. Dziś przyjść musi między nami do rozstrzygnięcia, to cel jego...

PICO: Ależ mój drogi, co ci się snuje po głowie! To człowiek chory, nędzarz... Wyczerpany czuwaniem i ekstazą. Sałatą tylko żyje i wodą... Dobrego apetytu! Czyż to Lorenzo, uprzejmy i czarujący nawet w cierpieniu? Miłych form towarzyskich oczekujesz po pokutniku? Daj mu pokój, daj pokój dziecinnemu tłumowi! Każdy krok z twojej strony dodałby tylko tej sprawie niezasłużonego znaczenia. Przyjdź tylko do zdrowia, pokaż miastu oblicze swoje... (w głębi ogólne poruszenie. Na schodach ukazuje się w wielkim pospiechu młodzieniec wybladły, bez tchu, w stanie wielkiego wzruszenia. Jest to młody malarz Ognibene. Przez chwilę stoi oparty o balustradę, w zupełnem wyczerpaniu, jedna noga niżej od drugiej.)

OGNIBENE: Lorenzo!... Jesteś tu! Chwała Bogu, że cię widzę!... Wasza wspaniałość... drogi, łaskawy Panie... wybaczcie... wdarłem się tu... nie dałem sobie bronić przystępu, muszę mówić z Wami. Biegłem tu... O, Boże! (klęka obok Magnifika i potrząsa go błagalnie za rękę.)

LORENZO: Przestraszasz mnie doprawdy, Ognibene! — Nie, nie, nie brońcie mu tu leżeć. Zawsze ma dostęp do mnie. Zdolny chłopiec a nadto uczeń Botticellego. — Co się stało, Ognibene?

OGNIBENE: Biegłem tu... biegłem co sił... z Florencyi, z pracowni mego mistrza... Ach mój mistrz!... Ten obraz! Cudny, nowy obraz!... Wybaczcie! Nie zdążyłem zarzucić płaszcza... W kurtce tu przybiegłem... Ach mój mistrz! Ten mnich!... Mój mistrz! Lauro! Odzyskaj go napowrót!...

LORENZO (groźnie lecz z lękiem): Pico!... Cicho! Nie chcę słuchać. Nie chcę słuchać tego. — Odstąpcie... Mów chłopcze, mów ciszej! — Co się stało z Botticellim?

OGNIBENE: Wiesz, że malował nowy obraz... Ale pocóż pytam! Malował go przecież dla ciebie. Wolno mi było pomagać... Drżałem z radości widząc, jak powstaje. Często skradałem się pokryjomu i klękałem przed nim w cichej pracowni, gdzie stał i błyszczał... Piękniejszy był niż Wiosna, cudniejszy niż Pallas, niż Narodziny Wenery... Młodość tam była, rozkosz i zachwycenie, malowane blaskiem słonecznym...

LORENZO: I cóż? Musisz się z nim teraz rozstać.

OGNIBENE: Odkąd usłyszał po raz pierwszy w katedrze brata Girolama, pracował niedbale, z trudem i bez szczęścia, często siadywał na stołku w milczeniu, wsparłszy czoło w dłoniach i dumał. Potem podniósłszy głowę wpatrywał się w obraz wzrokiem pełnym wewnętrznej walki i przerażenia. A dziś...

LORENZO: A dziś...?

OGNIBENE: Dziś był w San Marco, a po kazaniu... w celi brata, ze dwie, trzy godziny, nie wiem dobrze. Gdy wrócił, twarz jego martwa była—pełna pokoju, lecz martwa. »Ognibene« odezwał się do mnie. »Bóg wezwał mnie głosem straszliwym. Niemasz zbawienia w pięknie i rozkoszy oczu. Powiedz Magnifikowi, że szatanowi służyłem dotąd, teraz królowi memu Jezusowi służyć pragnę, w którego imieniu przemawia we Florencyi prorok Girolamo. Jeżeli wezmę jeszcze kiedy pędzel do ręki, Matkę Bolesną malować będę w głęboklej pokorze — powiedz to Medyceuszowi. Ratować chcę duszę moją.« Powiedziawszy to, wziął nóż do ręki, wbił w obraz i krajać począł wzdłuż i wszerz aż strzępy leciały.... (Poczyna szlochać rozdzierającym głosem, zakrywszy twarz rękoma.)

LORENZO (z zaciśniętymi pięściami, zdrętwiały z bolu i gniewu.) Sandro...

OGNIBENE: Lauro, mój Lauro, co począć?!... Powiedzieć chciałem—co rozkaże Wspaniałość Wasza? Każecie go zawołać? Chcecie z nim mówić? Pobiegnę! Pędem powrócę! Sprowadzę Wam mistrza, choćby noc zapaść miała! Wy potraficie wszystko! Rozjaśnicie jeszcze i oswobodzicie umysł jego...

LORENZO (ponuro, bez wyrazu): Nie, daj pokój, już zapóźno. Chciałem powiedzieć, zapóźna już pora. Bądź dobrej myśli i idź. Idź do pracy, albo do wina. Poszukaj sobie dziewczyny jakiej i zapomnij. Chcę być sam. Odejdźcie, aż was zawołam. Nie, nie Pico, ty także. Słuchaj... Przyszlij mi tu chłopców. Pomówić chcę z Ninem i Pierem. Niech tu zaraz przyjdą. Chciałbym—Idźcie już, idźcie. (Wszyscy wychodzą schodami lub drzwiami z przodu na prawo. Lorenzo zostaje sam, opadł na fotel, obejmując wy-

chudłymi, cienkimi palcami głowy lwów na poręczach. Głowa pochylona na piersi, zdaje się być pogrążonym w ciężkiej zadumie.)

4.

LORENZO (głucho, urywanym głosem): Zazdrość... Nigdy jej nie znałem. — Byłem sam jeden. Gdzież miała być żądza władzy... świadomość jej? Tutaj tylko!... Sam dziwiłem się często. — Służyć im pozwalałem... pięknie to było. Zamieszanie... ból... pożoga! — Uśmiech? — Wszystko napróżno. Nienawidzę go. I ja jego. Zwycięża, bo stoi silnie. Działa. Rozrzutny był, tak i ja, nieroztropny. Lecz dość mu jeszcze zostało... w sam raz by mógł działać. — Nikczemniejszym był może. — Obraz? — Mniejsza z tem! Środek to małej wagi. — Dusze tu w grze, państwo całe. — (Wzrok jego spoczywa na biuście umieszczonym między drzwiami a oknem) Cezar... (Pogrąża się w cichem zamyśleniu. PIERO i GIOVANNI wchodzą ostrożnie z za kotary z prawej, zbliżają się i całują mu ręce.)

GIOVANNI (na kolanach): Jak się czujecie, ojcze?

LORENZO: To wy... dobrze. Rzadko się pokazujecie, moi panowie. Pocóż się ma synów? Od parady? Dla świata? Na pokaz tylko? Tak jak żonę z rzymskiej krwi szlacheckiej, z którą inny, zastępca stał w Rzymie przed kapłanem, którą się zna zaledwie i dzieci ma dla racyi stanu? Czy na to tylko?

GIOVANNI: Ojcze, myśmy wspominali o Was zawsze z miłością.

PIERO: I czekali niecierpliwie wezwania Waszego.

LORENZO: Bardzoście uprzejmi, dobrze wychowani. Niedelikatnie by było, wymagać więcej. Tak to już bywa na tym świecie, że ojciec z synem najbardziej obcy dla siebie. Trudniejszy między nimi stosunek, niż między mężem a żoną. Słowem, jakkolwiek jest... nie wolno sobie na nic pozwalać, zbyt pochopnie okazywać miłości. A ja, przyznaję, myślałem o was, kłopotałem się wami... Dlatego was tu wezwałem... Zdawało mi się, że mam wam kilka słów do powiedzenia, i że prędzej na myśl mi przyjdą, gdy staniecie przedemną... Przyglądacie mi się bacznie... Jak mnie znajdujecie?

GIOVANNI: Lepiej, ojcze, znacznie lepiej! Nabraliście trochę kolorów.

LORENZO: Doprawdy? Mój maleńki, kochany Giovanni? Widzisz, podnoszę rękę. Chcę i podnoszę. Drży... i opada, opada. Oto leży, blada cała. Nie mogłem jej utrzymać. Zbliż się, Nino... Nachyl się Piero... Jedną nogą jużem w łodzi Charona.

GIOVANNI: Nie, nie, ojcze! Nie mów tak strasznych rzeczy! Pierleoni...

LORENZO: Pierleoni to głupiec. On i jego kolega razem z swymi rozgotowanymi kamieniami. Tak, tak, umieram. Idę gryźć ziemię, jak mówi Pulci. Odchodzę a wy zostajecie. Cóż ty na to, Piero?

PIERO: Oby Bóg zachował Was długo jeszcze przy życiu!

LORENZO: Grzecznie! Bardzo grzecznie! Ale do rzeczy: czyś gotów zająć moje miejsce?

PIERO: Jeśli tak być musi, gotów jestem, ojcze!

LORENZO: Fiorenza... Czy ty ją kochasz?... Miej cierpliwość ze mną! W głowie mi się mąci—Przypuszczam, że tak jest. Widzę wszystko w ciemnem świetle, jak przy pożarze jakim, zacierają mi się kontury—

GIOVANNI: Czy mamy może odejść, ojcze?

LORENZO: Boi się mój mały. Nie, nie, zostań Nino. Gorączka odwagi mi dodaje nazywać śmiało po imieniu to co czuję. Dziwnie to brzmi trochę, co prawda. Ale przy zdrowych zmysłach mówię. Do ciebie mówię, Piero. Twoje prawo dziedzictwa silne jest i na mocnych podstawach, ale nie całkiem bezpieczne, nie całkiem nienaruszalne. Nie wolno ci spoczywać gnuśnie. Myśmy nie królowie, nie książęta Florencyi. Żaden pergamin władzy naszej nie potwierdza. Bez korony rządzimy, z przyrodzenia, z nas samych... Sami z siebie wzrośliśmy w potęgę, wytrwałością, ciągłą walką, karnością: zdumiał się tłum ospały i przypadł nam w udziele. Ale taka władza, mój synu, codzień zdobywana być musi na nowo. Sława i miłość, uczynność dusz ludzkich: znikome to i fałszywe. Jeśli spoczywać chcesz i świecić bezczynnie, stracona dla ciebie Florencya... Niech słyszy wysławiane imię twoje, niech ci sypie wawrzyny, na tarczy podnosi, w służalczej przesadzie wynosi czyny twoje: Chwilowe to tylko, za to co dotąd zdziałałeś, nie zapewnia ci wcale jutra, bezpiecznej przyszłości — źle już może z tobą w chwili, gdy oni wznoszą radosne okrzyki. Strzeż się! Zimnym bądź! Niewzruszonym! O sobie tylko myślą. Uwielbiać pragną—to tak łatwo! Ale brać udział w twoich walkach, trosce, kłopotach, całej głębokiej męce wewnętrznej, nie śni się nikomu... Nie trać bolesnej pogardy dla gnuśnych pochlebców. Sam za siebie walczyć musisz, sam jeden—rozumiesz? Surowym bądź dla siebie! jeśli się dasz omamić i uśpić sławie, stracona dla ciebie Florencya. Rozumiesz?

PIERO: Tak ojcze.

LORENZO: Gardź zewnętrznym pozorem władzy. Wielki Cosimo usunął się z oczu tłumu, od hołdów jego, żeby miłość ich nigdy wyszumieć się nie mogła i wyczerpać. O, mądry on był! Jak rozumną musi być namiętność, by coś stworzyć mogła! Lecz tyś nieroztropny, znam cię dobrze. Zanadtoś podobny do matki swojej. Za dużo w tobie krwi Orsinich. W zbroi tylko dajesz się malować, w księcia bawisz się po ulicach. Nie bądź głupcem! Strzeż się! Florencya dobre ma oczy i ostry język. Umiarkowanym bądź i rządź... nie zapominaj też, że ze stanu mieszczańskiego pochodzimy, nie ze szlachty, że z łaski ludu tylko staliśmy się tem, czem jesteśmy, że ten tylko wrogiem naszym i rywalem, kto duszę ludu zechce od nas oderwać... Rozumiesz?

PIERO: Tak, ojcze.

LORENZO: »Tak, ojcze«. Grzecznie, uspakajająco, z przeświadczeniem, że samemu wie się lepiej. Dobry syn. Przekonany jestem, że nie wierzysz ani słowa — Słuchaj Piero, źle może będzie z nami, przygotowany jestem na to. Upadniemy może, wypędzą nas, gdy mnie nie stanie. Wszystko możebne— cicho! Fałszywa jest Florencya, ladacznica. Piękna... ach! jak piękna... ale ladacznica. Temu kochankowi się odda, który z batem o jej względy ubiegać się będzie. Wtedy, Piero, gdy przyjdzie ta chwila... gdy ciemny tłum podniesie się przeciw nam z wściekłą rozpaczą, wtedy, słyszysz Piero, wtedy pilnuj skarbu naszego, skarbu piękna, zebranego przez trzy pokolenia... Widzę go przed sobą w ratuszu, po willach. Dotknąć się mogę, zda się, ciał z marmuru, pić wzrokiem ognisty żar obrazów, wyciągam ręce do dumnych waz, gem, intarsyi, monet, bawidełek z majoliki... Słuchajcie dzieci, nietylko pieniądze i zapał zbieracza w to włożyłem ale i moją cnotę obywatelską. Niech potępia mnie, ten kto nie rozumie. Nie wahałem się dobra publicznego naruszyć, gdy brakło pieniędzy na te piękne rzeczy i zabawy—Dobro źle nabyte? — Fraszka! Państwem byłem ja. I Perikles czarpał w potrzebie bez wahania ze skarbu publicznego. Piękno stoi ponad cnotą i prawem, ale dość tego. Gdy szał ich zwróci się przeciw niemu, pilnuj Piero naszego skarbu piękna: Ratuj go. Wszystko porzuć a broń go życiem własnem! To moja ostatnia wola. Przyrzekasz mi?

PIERO: Nie kłopotaj się ojcze!

LORENZO: Kłopocz się ty! Mądry bądź! Nie wierzę w roztropność twoją, ale rady ci udzielam... A ty mój maleńki, ukochany Vannino... ciebię opuszczam spokojnie. O ciebie się nie boję. Twoja droga prosta, do Piotrowego tronu cię po-

wiedzie. Dodasz do herbu naszego potrójną tyarę i skrzyżowane klucze... A wiesz ty jakie to ma znaczenie? Poco to tak ułożyłem misternie? Medyceusz Chrystusa namiestnikiem: rozumiesz? Nie mów nic! Uśmiechnij się tylko, jeśli zrozumiałeś!— Uśmiechnął się! widzicie, uśmiechnął się!... Pójdź tu, niech cię pocałuję w czoło! Żegnaj mi! Żyj wśród wesela! Nie wzywam cię do wielkich czynów. Dusza twa nie stworzona do dźwigania ciężaru winy i potęgi. Unikaj gwałtu, zbrodni, która przerasta twe siły. Krwią się nie kalaj. Niewinnym bądź i nieskalanym, wesołym ojcem narodów. Niech Watykan rozbrzmiewa muzyką i weselem... Żart i dowcip niech będą piorunami miotanymi z twego Kronijskiego tronu. Sztuki piękne niech zakwitną rozkosznie pod twą laską pasterską a szczęśliwość rozlewa się od twego tronu po wszystkie kraje. Przyrzekasz mi?

GIOVANNI: Nie zapomnę nigdy ojcze pięknych słów twoich!

LORENZO: Idźcie więc! Dzięki wam — idźcie. Bardzo jestem zmęczony. Potrzebuję spokoju. Żegnajcie mi, dzieci! Miłujcie się, pamiętajcie o mnie. Żegnajcie!

(Bracia opuszczają komnatę tymi samemi drzwiami, któremi weszli. Giovanni puszcza Piera uprzejmym ruchem naprzód.)

5.

LORENZO (sam): »Tak ojcze«... Nie zrozumiał ani słowa. Sam do siebie mówiłem. Nic mi nie ulżyło. Z jednym rozmówićby się warto... Ale to niemożebne!... Florencyo! Florencyo! Gdybyś się oddała temu ponuremu chrześcijaninowi!... Kochała mię ta, o którą dziś walczymy ze sobą—ten mąż ponury i ja. O świecie! Rozkoszy najwyższa! Słodki, pożerający, miłosny śnie potęgi!... Nie powinno się posiadać. Tęsknota daje moc olbrzyma, posiadanie robi zniewieściałym!... Rozkosz najwyższa była udziałem waszym, jak długo wola ma trzymała w napięciu słabe siły. Bohaterstwo to nęciło jej pożądliwość! Teraz, gdy złamane, gardzi mną... Nikczemna ona, bezdennie nikczemna i okrutna. Pocóż walczymy o nią? — Ach, znużony jestem śmiertelnie.—

(W głębi, u szczytu schodów ukazuje się Fiore. Ręce ma złożone, postać jej symetryczna, sztuczna, tajemnicza. Z pod spuszczonych powiek rzuca krótkie spojrzenie na Lorenza i schodzi z uśmiechem do komnaty.)

FIORE: Jak zdrowie władcy Florencyi?

LORENZO (drgnął, wyprostowuje się z trudem. Z bolesnym, namiętnym uśmiechem): Dobre, dobre! wyśmienite,

Piękna moja! Wyście to? Dobrze mi zupełnie. Dlaczegóżby nie? Wyglądam nieszczególnie? Układałem wiersze! Piosnkę o nosku waszym, jak uroczym jest, gdy wzdyma się ironią! Jeśli wiersze układałem, cóż wynika z tego? Że zdrów jestem jak ryba! Kto układa wiersze zdradza nadmiar humoru...

FIORE: A więc gratuluję.

LORENZO: Dzięki, łaskawa bogini! Nie widzę Was jeszcze, ale chłodny, słodki głos Wasz owiewa me serce... A teraz—teraz, za chwilę ujrzę Was!... O! co za piękność! Nie zechcecie usiąść przy mnie? Tu, na stołeczku? Choć mnie wypadałoby raczej usiąść u stóp waszych? — Widzicie, samego mnie zostawili,— a ja nie skarżę się. A może i sam odprawiłem tych próżniaków. W samotności głębiej rozmyślać można o piękności Waszej, lepiej Was kochać.

FIORE: To kochacie mnie wciąż jeszcze, Lorenzo de' Medici?

LORENZO: Jeszcze? Was? Ciebie? Nie miałbym kochać ciebie? Czyż nie wiesz, że wszystkie siły ducha i umysłu mego pożera tęsknota za tobą?

FIORE: Nie rozumiem więc, dlaczego nie wstajecie i zabaw nie dajecie na cześć moją.

LORENZO: Zabaw... ach tak, zapewne — zabawy... zmęczonym trochę.

FIORE: Czy mną może?

LORENZO: Ostro ale słodko! Kocham szyderczość Waszą!

FIORE: Czemże bylibyście zmęczeni, jeśli nie mną?

LORENZO: Pozwólcie, że położę dłoń Waszą na mem czole! Rozpalone prawda? Gorączka to—Pierleoni mówi, że powodem jej niepomyślna dla mnie konstelacya Jupitera i Wenery wobec słońca i siebie samych. Ale Pierleoni nic nie wie. Gorączka ta rozpaliła krew moją, gdy Was po raz pierwszy ujrzałem, gdy dusza moja po raz pierwszy czar Wasz zrozumiała,— i goreje od tej chwli, Pamiętacie? Ferrara... Książę wypłynął na Po, na spotkanie moje w złotej gondoli, chorągwie powiewały wokoło na barwnych barkach, rozbrzmiewała muzyka, witali mię śpiewacy, na brzegach, zasypanych kwieciem bieliły się radosne posągi bogów, wśród nich wysmukłe chłopięta z wieńcami w ręku. Na każdej barce piękna kobieta w symbolicznym stroju. To miasta włoskie, ciągnące na spotkanie moje. I jedną, jedną zoczyłem wśród nich z laurem w włosach, liliami w ręku. A buffoni zawodzili mi pieśni zuchwałe, żeś to ty Fiorenzo, — słodka, jedyna, sława i blask mój, miłość i potęga, że tyś to marzenie me, kwiat świata tego, i że będziesz moją... Spojrza-

łem i ból ścisnął mi serce, ból, upór i głęboka tęsknota—jak ją nazwać? — za tobą! za tobą! posiąść cię, kwiecie świata, blasku zwodniczy—i umrzeć!

FIORE: Biedny zwycięzco! I cóż dałbyś za dawne cierpienie w miejsce dzisiejszego przesytu?

LORENZO: Czuję je i dziś jeszcze! Nie opuściło mnie nigdy! Czyż można mówić o posiadaniu ciebie? Czyż jest kres jakiś tej walce? Spoczynek w ramionach twoich?... Patrzysz na mnie, ty cudna! Pamiętasz ty wieczór ów po zabawie? Przyszłaś... Weszłaś do mnie podwojami z marmuru. Gdy w mrocznej, złocistej komnacie pierwszy raz cię uścisnąłem, usta me twoje znalazły—uczułem sztylet za gorsem twym i pomyślałem o Judyt... ojciec twój nienawidził nas, Medyceuszów. Z Pittim się sprzysiągł, wtrąciliśmy go w nędzę i na wygnaniu zakwitła piękność twoja. Możeś po to tylko się oddała, by zemstę nasycić? By w chwili najwyższej rozkoszy śmierć mi zadać zdradziecko? Jakże często, w najwyższem nawet miłosnem upojeniu, śledziłem w twych zagadkowych oczach, badałem, co kryją twe zimne, gładkie słowa... Kochałaś ty mnie kiedy? Kogokolwiek, komuś się oddała? Czy nie słuchasz tylko ciekawie głosu tęsknoty swojej, której nigdy usunąć nie wolno spokojnie, która przez posiadanie wciąż odradzać się musi na nowo, jeśli nie chcesz marnie zginąć? Ten, kto zaznał Waszego czaru, Madonno, nigdy nie znajdzie już spokoju, ani w rozpamiętywaniu przeszłości, ni w marzeniu o przyszłości. Teraźniejszość tylko istnieje dla niego, czujna, tajemnicza, groźna i—pożerająca...

FIORE: Słuchajcie, Panie Lorenzo! Nie przyszłam tu dysputować z wami o miłości. Kobietą jestem, ale zdawało mi się, że i w poważnych kwestyach przykładacie wagę do sądu mego i zdania.

LORENZO: Mówcie, proszę.

FIORE: Dobrze więc, przyszłam tu wyrazić zdziwienie swoje, że z taką lekkomyślnością patrzycie na zły stan spraw publicznych... Nie słyszeliście nigdy o mnichu zwanym Hieronymus Ferrariensis, przeorze w San Marco?

LORENZO (patrząc na nią): Słyszałem.

FIORE: Słyszeliście, że miasto słowem swem podbija, młodzież nagina do stóp swoich, artystów w proch rzuca i zmusza do pokuty, lud przeciw Wam i rządom Waszym podburza a siebie jako zesłannika Ukrzyżowanego wielbić każe?

LORENZO: Słyszałem.

FIORE: Widzicie! I znosicie to wszystko pokornie, z poddaniem na miękkiem wezgłowiu spoczynku...

LORENZO: Jeśli Florencya go kocha, nie mogę i nie chcę przeszkadzać.

FIORE: On kala Florencyę.

LORENZO: A ona kocha go zato.

FIORE: Pozwolicie, by miotał na mnie obelgi?

LORENZO: Czyż uczynił to?

FIORE: Opowiem wam wszystko od początku. Santa Maria del Fiore... to nie początek tego.

LORENZO: Byliście w katedrze?

FIORE: Zarówno jak i świat cały.

LORENZO: Często tam byliście?

FIORE: Kiedy mi się podobało... Równie często jak Florencya cała. I dla słuszniejszych powodów, niż ona. Znam ja od dawna mnicha tego.

LORENZO: Od dawna?

FIORE: Od czasu, kiedy wieniec sławy niewidzialnie jeszcze i wysoko unosił się nad wstrętną tą głową. Da się to opowiedzieć w kilku słowach. W Ferrarze, w sąsiedztwie domku, gdzie znaleźliśmy z ojcem schronienie przed szpiegami Waszymi, żył mieszczanin pewien, imieniem pan Niccolo, uczony, zamożny, starego rodu, chętnie widziany u dworu; żył tam z żoną Monną Heleną i dziećmi swymi, dwojgiem dziewcząt i czterema chłopcami, z których najstarszy był już poza domem, na służbie... Dzieckiem byłam jeszcze, lub niedaleko od tego, lat dwunastu, trzynastu ale pięknem już bardzo (czy uwierzycie?) i ścigały mię oczy młodzieńców. Z sąsiadami naszymi dobre zachowywałam stosunki: między domami naszymi zażyłość była sąsiedzka, rozmawiało się przez okna, odwiedzało wzajemnie a w porze letniej odbywało przechadzki za bramy miasta, by gonić się na murawie i wieńczyć kwieciem... Jeden tylko z synów sąsiada unikał naszego wesołego grona, drugi z rzędu, ośmnastoletni, o ile sobie przypominam, słabowity, małego wzrostu i jak noc brzydki. Stronił od ludzi i gdy cała Ferrara spieszyła tłumnie na zabawy publiczne, zagrzebywał się w książkach, grywał na lutni smutne jakieś melodye i pisał coś, co nikomu nie wolno było czytać. Lekarza chciano zeń zrobić, zagłębiał się więc w studyach filozoficznych, pochylony w swej izdebce nad Tomaszem z Akwinu i komentatorami Arystotelesa... Dokuczaliśmy mu często i rzucali przez okno na pult skórki z pomarańcz; podnosił wówczas głowę z pogardliwym i smutnym uśmiechem... Między nami dziwny był stosunek. Ze wstrętem i obawą zdawał się unikać widoku mego a skazany był widocznie spotykać mnie na każdym kroku —

w domu, na ulicy... Zdawało się wówczas, że chce mnie ominąć, bojaźliwie i nieśmiało, przezwyciężał się jednak i zacisnąwszy grube wargi, szedł naprzeciw i mijał pozdrawiając, zmieniony cały, z bolesnem, ciężkiem spojrzeniem. Zrozumiałam wówczas, że kocha się we mnie i cieszyłam się z władzy, jaka mi przypadła nad ponurą dumą jego. Bawiłam się nim, przyciągając, wabiąc nadzieją, to znów odpychając jednem spojrzeniem. Cieszyło mnie, że wzrokiem panować mogę nad tętnem krwi jego. Wychudł i stał się bardziej jeszcze milczącym, od postów pozapadały mu oczy, widywano go jak klęczał długie godziny po kościołach i rozcinał czoło o ostre stopnie ołtarzy. Dnia jednego sprawiłam z ciekawości, że o zmroku znalazł się ze mną sam na sam w pokoju. Siedziałam i czekałam w milczeniu. Wtem jęknął głucho, uczuł. że ciągnie go coś ku mnie, szeptać począł i szlochać i wyznał mi wszystko... A gdym z udanem zdziwieniem skarciła zachowanie jego, nieludzki wprost szał go ogarnął i dysząc głucho padł do stóp moich, błagając, by mu się oddać. Odtrąciłam go z przerażeniem i wstrętem— uderzyłam może, gdy nie chciał mię uwolnić z pożądliwego uścisku. Gdy się to stało, zerwał się z ochrypłym, niezrozumiałym okrzykiem i wybiegł cisnąc pięści do oczy.

LORENZO: Rozumiem... rozumiem...

FIORE: Imię jego było: Girolamo... W nocy uciekł do Bolonii i wziął suknię św. Dominika. Teraz głosi pokutę w nieznanych dotąd słowach. Śmieją się ludzie, dziwią i korzą. Imię jego przebiega Italię całą. Ciekawość Wasza, znudzeni Panowie, sprowadza go do Florencyi. I wielkim staje się w tej Florencyi...

LORENZO: Tyś go tak wywyższyła!

FIORE: Ja—jego? Słuchajcie więc, jak mi odpłaca! Znieważył mię dziś, w katedrze przed ludem całym... palcem na mnie wskazał, oplwał słowami swymi, z Babilonią wielką porównał, zalotnicą królów tej ziemi!

LORENZO: —! — Tyś go wywyższyła! Wyżej niż mnie, któremuś się oddała.

FIORE: Wyżej niż Was? Nie rozstrzygnięte to jeszcze, rozstrzygnąć się musi dopiero—słuchajcie, Przyjacielu... a gdybyście wezwali go tutaj? Przed oblicze Wasze? Na to choćby, by widzieć, jak plątać się będą bezradnie na kobiercu nogi klechy tego, gdy stanąć mu przyjdzie przed obliczem Magnifika. Tu niech będzie Rhodus jego. Wysłuchajcie go i dajcie odpowiedź. Niech się zmierzy z Wami. Jeśli poznacie nicość jego, odeszlecie łaskawie z powrotem do celi, na kazalnicę.

Może kalać Was na przyszłość dowolnie, Was i mnie. Lecz gdy uczujecie jego przewagę, w Waszem ręku zwalczyć ją przy pomocy silnych, zimnych argumentów. W Waszej będzie mocy: jeśli mężem jesteście, nie wyjdzie stąd więcej...

LORENZO: A gdybym wstydził się argumentów takich?... Wiesz dobrze, że musiałbym się wstydzić!

FIORE: Nic nie wiem. Czekam. Czekam, jakimi okażecie się obaj. Patrzeć będę na wynik. Zaprawdę jednak odemnie nie oczekujcie nagrody, jeśli wstyd Wam silniejszym się okazać!

LORENZO: Nie przyjdzie tu. Pod jakimże pozorem możnaby go tu zwabić?

FIORE: Chory jesteście. Nigdyście nie kłamali? Wzywacie kapłana. Czujecie się cierpiącym.—Wyspowiadać się chcecie. Pragniecie duchowej porady.

LORENZO: Tej pragnąłbym istotnie! Pożądam jej! Pustka koło mnie i przerażenie w tej chwili. Nie widzę Was, Madonno. Nie widzę piękności Waszej. Niezrozumiała mi już tęsknota! Gardzić chciałbym Wami, bo się Was lękam... Dokąd się zwrócę? Gdzie ucieknę przed Wami?... Wołajcie mi Ficina!... Ach, to zabawka tylko... Wołajcie mi brata Girolama! Macie słuszność! Niech przyjdzie!

FIORE: Stanie tu zaraz.

LORENZO: Jakto: przyjdzie?

FIORE: Wezwałam go. Wiedziałam, że widzieć go zechcecie. Posłałam po niego, dziś po kazaniu, w którem mnie znieważył. Jest już w drodze. Oczekiwać go możecie lada chwila.

LORENZO: Lada chwila... Przebóg, umiecie działać! Gorąco pożądacie spotkania tego! Lada chwila... wróg mój w Careggi... Dziś jeszcze, w tej chwili!... Dobrze więc, niech przyjdzie! Czyż boję się go może? Nie każę odprawić, gdy się zjawi. Jeśli chcę usłyszeć go jeszcze, czas najwyższy, by go wezwać... Ale przedtem wołajcie mi ludzi! Wołajcie towarzyszy moich! Pico niech przyjdzie i inni! (Fiore bierze za dzwonek i dzwoni.) Dziękuję Wam, Madonno! Kocham Was. Źle przygotowany byłbym na przyjęcie proroka tego, gdybym Was nie kochał... Jesteście tu, przyjaciele moi! Chwilę jeszcze użyczcie mi wesołego towarzystwa swego!

6.

Po stopniach schodzą: PICO, FICINO, POLIZIANO, PULCI i PIERLEONI.

PICO: Aj, Lauro! myśleliśmy, że odpoczywasz samotnie

a ty kończysz tymczasem, jak mi się zdaje schadzkę i rozmowę miłosną!... Najuniżeniej witam Was, Madonno!... Ale na prawdę, Lauro, wobec tego nie możesz odmówić i tym wesołym chłopcom, którzy czekają tam już od godziny, by cię zobaczyć; garstka artystów, na ich czele Francesco Romano, Aldobrandino...

LORENZO: I ten także? Dobrze, dobrze, chcę ich mieć tutaj. Potrzeba mi ich. Niech wejdą. (Polecenie na galeryę.) W dobrym dziś jestem humorze, panowie! Dobre otrzymałem wieści! Gościa mieć będę! Dziś jeszcze oczekuję sławnego i miłego gościa. Dajcie pokój, nie odgadniecie. Ani ty, Pico. Niecierpliwie go oczekuję i cieszę się bardzo, że przyjdą tu artyści, by skrócić mi czas, nim wejdzie do tej komnaty... Otóż i oni! Widzicie czerwoną, niewinną twarz Aldobrandina! Zakochany nos Leona! I Ghina, słonecznego bogów ulubieńca!... Witajcie dzieci!

(Ostrożnie wśród ukłonów wchodzi jedenastu artystów.)

ALDOBRANDINO: Cześć Wspaniałości Waszej!

GRIFONE: Zdrowia i szczęścia boskiemu Laurencyuszowi Medici!

(Tłoczą się, klękają i pochylają nad rękoma jego.)

LORENZO: Dzięki, dzięki Wam! Wierzcie, że serdecznie cieszę się z przybycia waszego!... Niechno zobaczę, kto to między wami! Oto Ercole, dzielny mój złotnik... i Guidantonio, co wyrabia te piękne krzesła... Ładnie, i Simonetta widzę, wspaniałego architektę i Dionea, który woskowi nadaje postać ludzką... Co porabia sztuka, Pandolfo?... Nie potrzebuję dodawać, że od razu spostrzegłem naszego mistrza Francesca.

ALDOBRANDINO: Prawda, Ekscellencyo,—mistrz Francesco, wielki to malarz, i mimo małomówności, w sztuce przoduje nam wszystkim; ale w miłości do Was, dostojny Panie, nikt mu z nas nie ustąpi, a niejeden przewyższy i może, jak sądzę. Przyszło mi właśnie na myśl: czy wolno mi pozwolić sobie na uwagę, że niedawno dopiero oddycham ojczystem powietrzem?

LORENZO: Prawda, masz słuszność, mój kochany Aldobrandino! Nie było cię tutaj! W Rzymie byłeś—przypominam sobie dobrze. Miałeś tam zajęcie, nieprawdaż?

ALDOBRANDINO: A tak Panie i dodać muszę: u dostojnych miłośników sztuki. Potem jednak doszła mię wieść, że Lorenzo de'Medici, wielki mój protektor, chory; porzuciłem wszystko niezwłocznie i podążyłem z takim pośpiechem do Florencyi, że w niespełna ośm godzin, przebyłem drogę z Rzymu!

GRIFONE: Chełpi się, Panie. Bezczelne przechwałki! Nikt nie zrobi tej drogi w ośm godzin. To kłamstwo.

ALDOBRANDINO: Słyszycie, Panie, jak ten człowiek chce mnie przed Wami oczernić!

LORENZO: Cicho, dzieci, niema tu powodu do kłótni. Choćby to i było istotnie niemożliwością, w ośm godzin przybyć z Rzymu, to Aldobrandino mówi mi o tem, po to tylko, by miłość swą okazać i poetycznie uwydatnić. A za to nie mogę gniewać się na niego.

ALDOBRANDINO: Wspaniała interpretacya, Panie. Ale nie znacie jeszcze w całej pełni oddania mego, nie wiecie, co cierpieć gotów jestem dla Was i znosić w milczeniu... Przynajmniej to, niech mi wolno będzie powiedzieć, najdostojniejszy książę... Dobrze, już dobrze! Nie będę tego podnosił.

GRIFONE: Dobrze robisz. Przyszliśmy tu dla ważniejszych powodów. Naradzić się trzeba nad uroczystościami, które odbyć się mają z okazyi wyzdrowienia Waszego, Magnifiko.

LORENZO: Mego wyzdrowienia...

GRIFONE: Pewnie, pewnie, o niem to myślę, za pozwoleniem Dostojności Waszej... Wyzdrowienie Lorenza, to najlepsza chyba sposobność do urządzenia pochodu tryumfalnego z tańcami i publiczną biesiadą. Pełną mam głowę projektów. Oddajcie to w moje ręce a pochód mieć będziecie, którego opis obiegnie Italię całą.

LORENZO: Dobrze, dobrze, Grifone. Dziękuję ci, mój chłopcze. Liczę na ciebie. Wrócimy jeszcze do tego. A teraz chciałbym usłyszeć, czy Ercole pracował co, od czasu, jak go nie widziałem... Czemu rozglądasz się tak badawczo po pokoju, Guidantonio?

GUIDANTONIO: Wybaczcie, dostojny Panie... oglądam urządzenie. Kilka ładnych rzeczy. Krzesło, na którem Wasza wspaniałość siedzi właśnie, to moja robota. Ładny kawałek. Ale reszta, darujcie przestarzała już trochę i nie stoi na wysokości smaku dzisiejszego. Mam ja teraz w robocie pokój, w którym motywy starożytne zastosowane są jak najpiękniej do nowoczesnej wygody. Czy mogę przedłożyć Wam rysunki?

LORENZO: Za najbliższym razem, mój przyjacielu! Nie omieszkam zamówić pokój twój, jeśli w smaku i wygodzie prawdziwy Guidantonio. A więc opowiadaj, Ercole, o różnych pięknych rzeczach, które wykonałeś!

ERCOLE: Drobnostki same, Panie, ale kilka ładnych pomysłów między nimi, które będą się Wam podobały. Piękną solniczkę z figurami i liśćmi przeznaczyłem umyślnie na Wasz

stół, Panie. Jak zobaczycie, zapłacicie mi za nią, ile zechcę. Zrobiłem dalej medalion z Waszem popiersiem z jednej strony, z drugiej Mojżesza wydobywającego uderzeniem laski wodę ze skały. Pod spodem napis: Ut bibat populus.

LORENZO: Pił on dosyć... ten lud! Wybij mi medal ten, mój Ercole. W srebrze i miedzi. Podoba mi się, choć modelu nie widziałem. Dobrześ wybrał ten napis: Ut bibat populus...

ERCOLE: Ale najwspanialsza rzecz, to mały brewiarzyk na cześć Matki Bożej, w oprawie z masywnego złota, bardzo bogatej roboty. Na zewnątrz widzicie podobiznę Dziewicy, z drogich kamieni, które warte same 6000 skudów...

ALDOBRANDINO: Zapakuj napowrót, Ercole! Lorenzo nie kupi twego brewiarza.

LORENZO: A to dlaczego?

ALDOBRANDINO: Bo nie lubi wizerunku Dziewicy. Przynajmniej starał się zawsze usilnie, by zostawić we Florencyi jaknajmniej dziewic!! (Śmiech i oklaski.)

LEONE: To bezczelność! Zuchwała kradzież, Magnifiko! Ten dowcip jest moją własnością! Wymyśliłem go przed godziną, w ogrodzie. Tych panów wzywam na świadków...

ALDOBRANDINO: Nie powinieneś, Leone, okazywać w tak szkaradny sposób swej zazdrości. Powiedziałeś być może przed chwilą coś podobnego, przyznaję. Ale w zupełnie innym związku. W każdym razie dowodzi to złego charakteru zazazdrościć mi uznania tych zacnych panów za moją przytomność umysłu.

LEONE: Ty łgarzu, gdyby tu nie było Laura i Madonny Fiore, powiedziałbym ci w oczy, żeś głupi gaduła!

ALDOBRANDINO: A ja odpowiedziałbym ci, zgodnie z prawdą, że zdumiewająco podobny jesteś do cuchnącego kozła....

LORENZO: Aldobrandino! Leone! Dosyć! Ogłaszam sprawę za załatwioną. Wiem, żeście obaj dowcipni... Chodź tu, Leone, opowiedz coś! Opowiedz anegdotę jakąś, ty facecyonisto! Powetujemy ci utratę oklasków. Patrz jak proszą oczy naszej Pani! Lubi historyjki twoje. I nasz mistrz Francesco... czyż nie bije mu z twarzy ciekawość? Chciałbyś mój Francesco, żeby Leone opowiedział nam jakąś czułą dykteryjkę—tak albo nie?

FRNCESCO ROMANO (toczy dokoła czarnymi swemi oczyma, uśmiecha, się z zadowoleniem, potem otwiera po raz pierwszy usta i mówi silnym, naiwnym głosem): Tak.

LORENZO (ubawiony): Słyszysz Leone? Mistrz rozumie się lepiej na malowaniu niż na sztuce wymowy; ale co powie,

treść ma głęboką i wagę. Nie sposób, opierać się dłużej. Zaczynaj! Madonna królową dnia tego. Wzywa cię a szlachetne grono to oczekuje twej nowelli.

LEONE: Dobrze więc, uważać! Ale panów uczonych proszę o pobłażliwość. Plotę, co mi na myśl przyjdzie, bez żadnej sztuki. Nie jestem nowelistą żadnym, nie bajam, bajać nie potrzebuję jak jaki poeta. Poeta, jak wiadomo używa i kocha gęsiem piórem; ja czynię to innem, lepszem...

(Wesołość. Brawa.)

Opowiem więc prawdę całą, jak za ostatnim razem uśmiechnął się do mnie Cupido. Słuchajcie!—W Lombardyi, gdzie byłem niedawno w gościnie u jednego z przyjaciół, jest klasztor zakonnic, sławny bardzo z nader pobożnej i sławy świętości zażywającej przeoryszy. Do mieszkanek jego należy jednak krewniaczka przyjaciela mego, imieniem Fiametta, i gdy odwiedzał ją raz u kraty, wolno mi było towarzyszyć. Gdym ją tylko ujrzał, zapłonąłem miłością do urody jej i młodości a w oczach jej poznałem, że i ona nie mniejsze znajduje upodobanie we mnie. Wszelkie starania moje skierowane były odtąd, by zbliżyć się do niej jak najbardziej, a że nie brak mi doświadczenia w podobnych sprawach, ułożyłem sobie rychło plan cały. Pomocną mi była ta okoliczność, że jak mi powiedziano, wakowało w klasztorze tym miejsce ogrodnika. Zmieniłem trochę na wszelki wypadek oblicze swoje, ogoliłem brodę, przywdziałem szaty ubogie i zgłosiłem się do surowej i świętej przeoryszy, jako kandydat na ogrodnika. Udałem nadto, że jestem niemy, co świetnym było pomysłem, bo upewniło czystą tę damę jeszcze bardziej o nieszkodliwości mej dla jej owieczek. Zostałem przyjęty i zaraz objąłem służbę. Wkrótce zdarzyło się, że spotkałem w ogrodzie przy pracy uroczą Fiamettę, dałem się jej poznać i upewniłem, że nie jestem bynajmniej niemy, ani też nawiedzony żadną ułomnością cielesną, prosiłem serdecznie, by zechciała przekonać się o tem zupełnie dokładnie. A że pragnienie jej odpowiadało gorąco memu, wzięła mię pierwszego wieczora, gdy tylko nadarzyła się sposobność do swej celi, gdzie zostałem noc całą; i zapewniam was, jeśli w dzień niedokładności są jakie w pracy mojej z braku ćwiczenia, to w nocy zręczny jestem bardzo i sprawny. Czar mojej małej Fiametty niejednej nocy dodawał mi zapału do wielkich czynów i byłbym często jeszcze dokonywał tego, gdyby była zazdrość nie położyła kresu naszemu szczęściu. Dwie szpetne zakonniczki, które nie miały żadnego kochanka i skrycie, jak tylko mogły, zaspakajać musiały potrzeby swoje, zro-

biły odkrycie, że ogrodnikiem zrobiono kozła a powodowane zawiścią do ślicznej swej siostrzyczki, nie wahały się donieść o spostrzeżeniach swoich pobożnej przeoryszy. By mieć pewność, postanowiono złapać nas na gorącym uczynku. Śledzono nas i pewnego późnego wieczora, gdy Fiametta wpuściła mię znów do siebie, pospieszyły obie zazdrośne zakonniczki do celi przeoryszy, i doniosły pukając rozpaczliwie, że lis jest w pułapce. Nie na rękę musiała być okoliczność ta świętej matronie, jak się to zaraz pokaże, wyskoczyła jednak pospiesznie z łóżka, narzuciła suknie na łeb na szyję i udała się z obojgiem zdrajczyń do celi Fiametty. Wyłamano drzwi, zapalono światła i najczulszy uścisk nasz wydany był na wzrok ludzki. Początkowo zdrętwieliśmy z Fiamettą ze strachu. Lecz gdy tylko przyszedłem do siebie i pilniej przyjrzałem się przeoryszy, która łżyła wciąż i przeklinała, zauważyłem dziwny szczegół. Święta ta matrona, myśląc po ciemku, że ubiera swój czepek, nałożyła na głowę spodeńki księże, których wstążki zwieszały jej dziwnie z obu stron na ramiona. Madonno (odezwałem się, przerywając potok jej obelg—a ona zrobiła wielkie oczy słysząc, że niemy przemawia)— raczcie wprzód upiąć lepiej okrycie swej głowy i mówcie potem, czego chcecie! Wtedy spostrzegła omyłkę swoją i stała oblana rumieńcem, bo wiedziała, gdzie właściciel tych spodni. Wybiegła z wściekłością a z nią obie zdrajczynie, tak, że zostaliśmy z Fiamettą sami i raz jeszcze doznali tej nocy spokojnie niebiańskich — —

(Opowiadał wśród wzrastającej wesołości. Artyści i humaniści oklaskują gorąco niektóre ustępy, Fiore bierze w tem również udział. Lorenzo, zapomniawszy o wszystkiem, słuchał nowelli z dziecinną radością. Przy końcu w komnacie ogólne hałaśliwe wybuchy wesołości. Lorenzo śmieje się serdecznie; artyści duszą się od śmiechu. Wtem przerywa opowiadający i nastaje nagłe milczenie.)

PAŹ (wchodzi z za kotary na prawo i oznajmia jasnym, donośnym głosem): Ksiądz Przeor z San Marco. (Pauza.)

POLIZIANO (przerażony, nie wierzy uszom własnym): Co mówisz, chłopcze?!

PAŹ (wystraszony): Ksiądz Przeor z San Marco.

(Milczenie. Wszystkich spojrzenia zwrócone z najwyższą bezradnością na Lorenza. Wokoło widać pootwierane usta i brwi popodnoszone z lękiem.)

LORENZO (do pazia): Zbliż się. Jak ci na imię?

PAŹ: Gentile, dostojny Panie.

LORENZO: Gentile... Piękne imię. Idźno jeszcze raz

w tamtą stronę, Gentile, i wróć się. Chętnie patrzę na ciebie, umiesz chodzić. Ładne masz biodra. Stój spokojnie... Aldobrandino, zapamiętaj sobie tę linię. Weź ten pierścień, Gentile, ucieszyłeś oczy moje. A ten, kogo zwiastujesz niech wejdzie.

POLIZIANO: Chciałbyś naprawdę!...

LORENZO: Chcę.

(Paź odchodzi. Głucha cisza. Zasłona się podnosi. Blady, ponury i namiętny profil Ferraryjczyka wsuwa się powoli do komnaty.—Postać pełna nieubłaganej brzydoty, grube, kościste rysy stanowią straszny kontrast do reszty postaci, drobnej i słabej. Głowa otulona kapucą czarnego płaszcza, który mnich narzucił na biały habit. Między silnie zagiętym nosem a wązkiem ostro zarysowanem czołem, głębokie wcięcie. Grube zaciśnięte wargi zdają się pogłębiać jeszcze szare, pozapadane policzki. Brwi ostro zarysowane, u nasady nosa zrośnięte, podniesione są w górę, co układa czoło w głębokie podłużne zmarszczki a małym oczom zamglonym wyczerpaniem nadaje wyrazu odrętwienia lecz i głębi zarazem. Zdyszany długim, szybkim chodem, stara się to ukryć. Ręce ukryte jeszcze w rękawach habitu, drżą i wyglądają jak woskowe, gdy je podnosi. Głos chwilami nerwowo niezdecydowany, to znów nabiera niewiadomo skąd dzikiej jakiejś siły i hartu.

Za wejściem jego cofają się artyści w głąb komnaty i zostawiają mu wiele wolnego miejsca. Trzymają się razem; jeden bierze drugiego za rękę i nawpół odwrócony spogląda na mnicha ze zmarszczonymi brwiami, wyrazem wstrętu, braku zrozumienia i przestrachu ua ustach. W ten sposób znikają powoli schodami i galeryą z lewej, za nimi humaniści. Pico ostatni. Rzuca jeszcze ciekawe spojrzenie na tych troje pozostałych w komnacie i oddala się wreszcie na palcach.

Wzrok Ferraryjczyka zwrócony wprost przed siebie, pada na Fiore, ułożoną w artystycznej pozie u stóp Lorenza. Zadrgał kurczowo i wyraz bolu zasępia mu na chwilę oblicze. Potem wyprostowuje się i z wzrokiem utkwionym badawczo w Lorenza, zakreśla głową i górną częścią ciała niewyraźny ruch powitalny.)

FIORE (podniosła się. Ze złożonymi rękoma i spuszczonymi oczyma idzie ku Ferraryjczykowi i odzywa się wysokim, monotonnym głosem): Witajcie w Careggi, księże Przeorze. Czy można pogratulować Wam kazania dzisiejszego? Spóźniłam się trochę, ale na czas zdążyłam jeszcze, by usłyszeć ustęp najlepszy... Zapewniam Was, zbudowaliście mnie głęboko. Potężne są występy Wasze — Cóż? Dlaczegoż to tak umilkliście? Nie

wypada artyście przyjmować pochwał i tryumfów tak zimno i dumnie, bez najmniejszego uśmiechu skromnej obrony.

PRZEOR (zdyszany jeszcze, surowo, z trudem): W katedrze mówiłem do Was. Z kazalnicy tylko mówić do Was będę.

FIORE (udając obrażoną): Nie każdy tak surowy. Z kazalnic sztuk wielu przemawiają do mnie ludzie, starają się uśmiech mój wywołać lub nakłonić ucho... a mimo to zostaje im jeszcze tyle krwi i ognia, by mi w codziennem życiu trochę okazać zajęcia.

PRZEOR: Ja żyję tylko na kazalnicy mojej.

FIORE (udając przestrach): Toście tu już umarli? Hu, tak, tak, istotnie! Bladziście i zimni. W jednej komnacie jestem z chorym i umarłym! — Lecz niegdyś, panie umarły, niegdyś przed laty, żyliście jeszcze, nieprawdaż, i rozmawialiście ze mną tutaj, na dole...

PRZEOR: Mówiłem. Wołałem. Lecz wyście się uśmiechali, wyście się śmieli. Biczowaliście mnie wzgardą. Wypędziliście mnie—na kazalnicę moją. A teraz hołd mi składacie.

FIORE: Silnych dobieracie wyrażeń. Na sposób retorski. Ja składam Wam hołd? Mnie to ludzie hołdują, a kto najlepiej i najpiękniej potrafi, przed tym ja głowę pochylę.

PRZEOR: Ja nie pochylam przed Wami głowy. Obelgi miotam na Was. Wstrętną nazywam i przewrotną. Przynętą szatana, ducha trucizną, mieczem dla duszy, wilczem mlekiem, zguby początkiem, nimfą, czarownicą, Dyaną...

FIORE: Wyrażacie się dobrze. Do obelg taksamo talentu trzeba, jak do pochwał. A gdybym uważała to za najwyższy, najśmielszy sposób składania hołdu? Możecie wyobrazić sobie coś podobnego? Co? a może, może i sami tak myślicie?

PRZEOR: Nie rozumiem Was. Słyszeliście mnie w katedrze. Niewprawny jestem w słów igraszce. Lecz Wy słyszeliście mnie w katedrze. Słowo doniosłem jest i świętem. Mistrzem mym, ten, który palcem usta zamyka, Petrus Martyr.

FIORE: Działać i milczeć... Wiele podobieństwa znajduję w gościu waszym z mistrzem Francesco Romano, Magnifiko. Lecz... Wy z tym chorym chcieliście mówić, Panie trupie? Potoście tu przyszli? Idę więc i życzę Panom najlepszej zabawy. Ślicznego porozumienia się i owoców obfitych. Nie zabraknie ich pewnie.

(Wstępuje po stopniach i znika galeryą na prawo. W czasie sceny następnej zapada wieczór.)

LORENZO (zapomniał był widocznie zupełnie o obecności Ferraryjczyka, który utkwił w nim swój ponury, płonący wzrok. Z pochyloną głową patrzy w próżnię. Wreszcie, przypominając sobie sytuacyę, stara się zmusić z wzruszającym wysiłkiem do światowej uprzejmości i mówi): Raczcie usiąść, Padre!

PRZEOR (opierając się pokusie, by usiąść na krześle koło drzwi): Słuchajcie Lorenzo de'Medici! Patrzyłem na świat, znam podstępność książąt i krwawą ich zdradę. Jeśli to podstęp, jeśli zwabiono mnie tu, by gwałt zadać i pozbyć się — strzeżcie się! Lud mnie kocha. Słowo moje zdobyło mi ich dusze. Lud stoi za mną. Nie ważcie się dotknąć mnie!

LORENZO (ukrywając uśmiech): Lękacie się? — I dlaczego? Bądźcie spokojni. Daleki jestem od tego, bym kłaść miał dłoń zdradziecką na znakomitego męża. Czyżem to Malatesta, Baglioni? Krzywdzicie mnie, z nimi równając. Nie jestem ja barbarzyńcą, nie brak mi poszanowania. Życie Wasze i działalność lepiej może ocenić umiem, niż niejeden z Waszej gminy i trzody. Mogę prosić, byście i na mnie słusznie i sprawiedliwie patrzeć chcieli?

PRZEOR: Co macie mi do powiedzenia?

LORENZO: O... część powiedziałem już. Lecz Wy szorstko wyrażacie się. Chorym wydajecie się i zmęczonym. Nie mylę się. Bystry mam wzrok na to (z szczerem współczuciem) Wy chory jesteście?

PRZEOR: Kazałem dziś w katedrze. Potem czułem się niezdrów. Leżałem w łóżku. Opuściłem je na Wasze wezwanie.

LORENZO: Na moje... a tak, słusznie. Przykro mi! Tak Was wyczerpuje praca?

PRZEOR: Męką jest życie moje. Gorączka, biegunka i nieustanna praca umysłowa dla dobra miasta tego, tak wyczerpały organizm mój, że najmniejszych trudów znieść nie może.

LORENZO: Na Boga, szanować się powinniście, odpocząć.

PRZEOR (z pogardą): Nie znam spoczynku. Znają go ci tylko, którym brak posłannictwa. Tym lekko!... W moich żyłach płonie ogień wewnętrzny, i prze mnie na kazalnicę.

LORENZO: Ogień wewnętrzny... Wiem, wiem! Znany mi ten żar. Demonem zwałem go, wolą, szałem, lecz on bezimienny. Szał to człowieka który nieznanemu bogu składa się na ofiarę. Gardzi się tymi, co nizki, wyrachowany żywot prowadzą i podziw wzbudza u nich, że się krótki, gwałtowny zamiast długiego nędznego wybrało...

PRZEOR: Wybrało? Ja nie wybierałem. Bóg powołał mię do wielkości i cierpienia a ja byłem Mu posłuszny.

LORENZO: Bóg albo namiętność! Ach, Padre, my się rozumiemy! Zrozumieć się musimy!

PRZEOR: Wy ze mną? Bluźnicie. Poco wzywaliście kapłana. Na złem trawiliście życie swoje.

LORENZO: Co Wy złem nazywacie?

PRZEOR: Wszystko, co przeciw duchowi,—w nas i poza nami.

LORENZO: Przeciw duchowi... Chętnie Was posłucham. Wezwałem Was po to, by usłyszeć. Wierzcie, bracie, w dobrą wolę moją! Powiedzcie mi łaskawie, co Wy duchem nazywacie?

PRZEOR: Dążenie do czystości i pokoju, Lorenzo Magnifiko.

LORENZO: Słodkie to słowa i silne zarazem. A jednak... czemuż lęk mnie zbiera? Mimo to, słucham Was. W nas, powiedzieliście? A więc i w Was także? I Wy też w walce z sobą?

PRZEOR: Z kobietym zrodzony. Nieczystem jest wszelkie ciało. Poznać trzeba grzech, odczuć go i zrozumieć, by módz nienawidzieć. Anieli nie mogą grzechu nienawidzieć, bo go nie znają. Bywały chwile, kiedy występowałem przeciw duchów hierarchii. Zdawało mi się, żem ja więcej niż anioł.

LORENZO (wyjątkowo z cieniem ironii): Śmiała to kwestya i zajmująca, godna być przez Was postawioną. Ale Was obchodzi tylko, bracie kochany, dlatego dziś zostawmy ją bez odpowiedzi. Jam chory, widzicie i lęk ściska me serce — nie taję przed Wami—lęk o świat, o siebie—czy ja wiem—o prawdę... Szukałem pociechy u Platoników moich, u artystów — i nigdzie jej nie znalazłem. Dlaczego? Bo oni wszyscy nie są mego pokroju. Podziwiają mnie może, kochają ale nie wiedzą nic o mnie. Dworacy to, mowcy, dzieci—cóż mi po nich? Widzicie, na Was liczę, Padre. Was usłyszeć muszę — o Was i o sobie samym, porównać się muszę, porozumieć z Wami, czuję, że wtedy dopiero będę spokojnym. Wyście inni niż tamci. Nie pełzacie gadatliwie u stóp moich. Wznieśliście się obok mnie i temsamem oddechacie co i ja powietrzem. Wy mnie nienawidzicie, potępiacie, całej sztuki swej używacie przeciwko mnie — widzicie, a ja, ja blizkim jestem nazwać Was w sercu bratem swoim...

PRZEOR (przy ostatnich słowach pokrył mu rumieniec wychudłe policzki): Nie chcę być bratem Waszym. Nie jestem nim, czy słyszycie. Ja mnich biedny, duchowny, wyszydzany, jak każdy z nas, przez cały, zuchwały świat cielesny,

a przecież tak wywyższyłem siebie a w sobie rodzaj mój cały, że Wam, władcy świata tego, Wam Magnifikowi pod nogi rzucam braterstwo.

LORENZO: Gotów jestem podziwiać Was za to.

PRZEOR: Nie powinniście mnie podziwiać, nienawidzić mnie musicie! A że strasznym powinienem być dla Was — musicie się mnie lękać. Dużo słyszałem o uprzejmości Waszej Lorenzo Medici. Lecz mnie ona nie omami. Raz jeszcze pytam Was, poco wezwaliście mnie? Straszno Wam przed ogromem złego, strach zmusza Was do układów z Bogiem — poznać pragniecie warunki łaski. Czy nie tak?

LORENZO: Nie zupełnie... prawie... Widzicie, ja chcę układać się, już się układam; lecz Wy niecierpliwicie się. Niech Was zrozumiem, zupełnie! Jakto? Całe więc życie działałem przeciw duchowi?

PRZEOR: I ty pytasz? Czyż i dusza Twa nieczuła, tak jak powonienie? Szerzyliście pokusy na świecie, słodycze szatańskie, któremi trapi i napawa ciało nasze. Mnożyliście rozkosz oczu i tryskać jej pozwalaliście ze ścian Florencyi—i nazywaliście to Pięknem. Kusiliście do kłamstwa lud, które tłumi żądzę zbawienia, orgie wyprawialiście ku czci zwodniczego, błyskotliwego świata tego i nazywaliście to sztuką...

LORENZO: Dziwne widzę przeciwieństwo... Występujecie przeciw sztuce, a jednak, bracie—wyście sam artysta!

PRZEOR: Lud widzi lepiej: prorokiem mnie nazywa.

LORENZO: Czemże jest prorok?

PRZEOR: Artysta i święty zarazem. — Z waszą sztuką, która wzrok i ciekawość łechce, nie mam nic wspólnego, Lorenzo de'Medici. Moja sztuka jest święta, poznaniem jest i protestem płomiennym. Wcześnie już, gdy ból mnie gnębił, śniłem o pochodni, którąby światłem miłosierdzia rozświecała przepaści straszliwe, bezwstydne i bolu pełne życia otchłanie, o ogniu boskim pod świat podłożonym, by spłonął i zczezł cały z hańbą swą i męką w zbawczych płomieniach miłosierdzia. O tej to sztuce śniłem...

LORENZO (przypominając sobie): Uroczym wydawał mi świat cały...

PRZEOR: Ja go przejrzałem! Przejrzałem pozorny czar jego! Za wiele cierpiałem, bym nie obstawał dumnie przy poznaniu swojem. Chcecie porównania? Było to w Ferrarze. Chłopięciem byłem jeszcze, gdy ojciec wziął mnie z sobą dnia pewnego na dwór. Widziałem pałac Este. Widziałem księcia z towarzyszami swymi, ucztującego w gronie kobiet, karłów,

trefnisiów i artystów. Muzyka i woń upajająca, tańce i biesiada wokoło... a chwilami dochodził do weselnej wrzawy obcy dźwięk jakiś, cichy i przytłumiony ponuro głos bolu, jęku i skowytania, dobywający się gdzieś z głębi — z piwnic strasznych, gdzie jęczeli więźniowie. I tych widziałem. Prosiłem i sprowadzono mnie w podziemia, gdzie wycie było i przerażenie. I wespół z tymi nieszczęśliwymi słyszałem dźwięki wesela dolatujące z góry i zrozumiałem, że tam w górze nie było wstydu, nie zadrgało niczyje sumienie... Myślałem, że zdławi mię gniew i nienawiść. I ptaka ujrzałem w przestworzu, wielkiego i pięknego, szybującego rozkosznie, śmiało i zuchwale. I ból przejął me serce, gniew, ból i głębokie cierpienie życia: gorąca i gwałtowna żądza: Obym zdruzgotać mógł te wielkie skrzydła!

LORENZO: To więc marzeniem Waszem?

PRZEOR: Wejrzałem w serce dni naszych, ujrzałem czoło ich, czoło ladacznicy, bezwstydne — radośne a bezwstydne — rozumiecie teraz?—Nie chciała się wstydzić! Świece brała z ołtarza Ukrzyżowanego i stawiała na grobie tego, co piękno stworzył. Piękno... piękno... czemże jest ono? Możnaż nie widzieć tego? A gdy przeniknie się istotę rzeczy, komuż pozwoli smutek i wstręt pragnąć jej jeszcze?... Komuż? Komuż? Chwili dzisiejszej! Wam wszystkim! Tylko nie mnie, nie mnie jednemu.

Uciekłem wówczas, uciekłem od tej lekkomyślności strasznej, która poznanie wyszydza ból i zbawienie. Do klasztoru uciekłem, w surowym mroku kościoła szukałem schronienia. Tu, sądziłem, tu w cieniu krzyża, państwo cierpienia. Tu świątobliwość panuje i wiedza, sacrae litterae... Cóż ujrzałem jednak? Krzyż i tutaj zdradzony. Ci, co stułę i habit noszą, ci, których za braci miałem w cierpieniu — sprzeniewierzyli się majestatowi ducha. Z wrogiem się sprzysięgli, z Babilonią wielką: i tutaj byłem sam jeden. Zrozumiałem wówczas: siebie, siebie samego wielkim uczynić muszę wobec świata, bom zastępca i wybraniec. Duch zmartwychwstał we mnie!

LORENZO: Przeciw pięknu? Bracie, bracie, na mylne sprowadzacie mię drogi: Czyż tu musi być walka? Czyż w świecie musi być rozłam? Duch i piękno wrogo stać przeciw sobie?

PRZEOR: Musi. Prawdę mówię, którą sam wycierpiałem (Wahanie. zapada zmierzch.) Chcecie dowodu, jak nieprzejednane są i obce sobie wiecznie oba te światy? Dowodem tym tęsknota. Znacie Wy ją? Gdzie przepaść zionie, rzuca most swój tęczowy, gdzie ona, tam przepaść. Słuchajcie, słuchajcie, Lorenzo Medici: duch może tęsknić do piękna. Słabości to chwile, zaparcia się samego siebie, słodkiego wstydu. Bo Piękno roz-

koszne i wesołe, ono, które życiem jest i potęgą, ducha nie zrozumie nigdy, obcem mu pozostanie, lękaś się go będzie może i odpychać ze wstrętem, wyszydzać i zmusi tak do powrotu do samego siebie... Ale zdarzyć się może, Lorenzo Medici, że twardym stanie się ten duch w cierpieniu swojem, wielkim w osamotnieniu, potęgą wróci, której odda się niewiasta...

LORENZO: Czemu urwaliście? Słucham... zamykam oczy i słucham. Słyszę melodyę życia mego. Umilknąć chcecie? To tak słodko, słuchać samego siebie, bez własnego wysiłku... Nie widzę was prawie... Noc to może, a może konają oczy, gdy duch jeszcze żywy. Lecz ja słucham. Pieśni słucham — mojej pieśni — głębokiej pieśni tęsknoty... Girolamo, nie poznajecie mnie jeszcze? Tam, dokąd prze nas tęsknota, nie dochodzimy nigdy nieprawdaż? — tem nigdy nie jesteśmy. A jednak jakże chętnie widzi człowiek w sobie ucieleśnienie tęsknoty własnej. Panem Piękna zowią mnie ludzie, słyszeliście, prawda? A ja, ja, szkaradny jestem, żółty, słaby i szkaradny. Uwielbiałem zmysły — a brak mi było tak cennego. Brak powonienia. Nie znam woni róży ni zapachu kobiety. Kaleką jestem, wyrodkiem. Czyż ciało me tylko? Dzikiemi żądzami wyposażyła mię natura, ale szał i upojenie w rytm wtłoczyłem i miarę. Pełną żądz namiętnych, męki i ponurej pożądliwości była dusza moja a ja wykrzesałem z niej płomień wesela; kozłem byłem wstrętnym satyrem bez tęsknoty swojej a jeśli z wesołymi Olimpijczykami kojarzą mnie poeci, nie wie żaden z nich o karności, którą długo poskramiać musiałem dzikość swoją. I dobrze było tak. Bez trudu niema wielkości. Gdybym się był pięknym urodził, nie byłbym się stał nigdy piękna panem. Poskramianie się, najlepszym silnej woli przyjacielem. Ale komuż mówię o tem? Wam, który wiecie sami tak dobrze, że nie prosta siła zdobywa wieniec bohatera? Jeśli wrogami jesteśmy, dobrze, tośmy braćmi wrogimi!

PRZEOR: Nie jestem bratem waszym! Czyście nie słyszeli? Światło wnieść każcie, jeśli ciemność słabym Was czyni! Nienawidzę tej sprawiedliwości haniebnej, tej żądzy zrozumienia, tej zbrodniczej wyrozumiałości dla przeciwnika. Niech nie zbliża się do mnie! Niech milczy! Znam go, znam ducha tego! — znam aż nadto dobrze! Precz odemnie! Florencyę słyszę, dni nasze — subtelne, zuchwałe i wyrozumiałości pełne — ale mnie, mnie nie uwiodą one, mnie nie rozbroją, mnie nie — wiedzcie o tem raz na zawsze!

LORENZO: Nienawidzicie dni naszych a one Was rozumieją. Któż większy?

PRZEOR (dziko): Ja! ja!

LORENZO: Być może. Wy więc. Dobrze. Nie dla sprzeczki wezwałem Was. A jednak—wybaczcie! Chętnie widziałbym Was w zgodzie z samym sobą. Jakto: wy występujecie przeciw duchowi, który Was wyniósł, któremu daliście się wynieść... Przyznajecie mi słuszność? Nie widzę oblicza Waszego. Ale tak sądzę: w epoce takiej, jak dzisiejsza, którą wysubtelnioną nazywacie, niedowierzającą i wyrozumiałą, ciekawą, niespokojną, złożoną i nie znającą granic, w takiej chwili postawienie sobie granicy jakiejś genialnością się już wydaje... Wybaczcie! Nie sprzeczam się, ubliżyć Wam nie chcę, tylko jasno patrzeć na Was i na siebie... Siła odwracająca się ze stanowczością od ogólnego zwątpienia stać się może potęgą. Ci mali, wydelikaceni nie wierzą oni wcale, — nie myślcie, by wierzyli! — siłę czują i tej się poddają. Pozwólcie jeszcze! Posłuchajcie! Myślę dalej: łżycie sztukę a posługujecie się nią do celów swoich. Zdobyliście wzięcie i sławę, dlatego, że czas nasz i miasto to uwielbia dumną jednostkę. Nigdy, nigdzie jeszcze nie zbierał tyle wdzięczności, tak hojnej zapłaty, ten, kto na własną rękę do własnej dąży sławy. Jeśli wielkim staliście się we Florencyi, to dlatego tylko, że ta właśnie Florencya tyle ma indywidualności, tyle artystycznego smaku, by uznać Was swym panem. Gdyby trochę mniej, — odrobinę mniej oddana była sztuce—rozszarpałaby Was, zamiast bić pokłony. Wiecie o tem?

PRZEOR: Nie chcę wiedzieć.

LORENZO: Czyż wolno nie chcieć? Potępiacie ludzi prostego i naiwnego ducha, którym poznania brak i wstydu. A Wam czyż nie wstyd, zdobywać potęgą, skoro poznaliście, czem ją zdobywacie?

PRZEOR: Wybrańcem jestem. Wiedzieć mi wolno a mimo to pragnąć. Silnym być muszę. Bóg działa cuda. Cud oglądacie odrodzonej naiwności i prostoty (koło b' stu Cezara.) Czyż on pytał czem wzrasta?

LORENZO: Cezar?! Wyście mnich przecie! A pożądacie sławy!

PRZEOR: Jakżeby nie—skoro tyle wycierpiałem? I mówi żądza moja: cierpienie nie może iść na marne. Sławę przynieść mi musi!

LORENZO: Przebóg, tak jest wistocie! Czyż nie wiedziałem? Misternie obmyśliłeś to wszystko, mnichu! Myśmy egoiści, my władcy, a dlatego nas tak zowią, bo nie wiedzą, że wzrośliśmy z cierpienia. Twardymi nazywają nas, a nie rozumieją, że ból zrobił nas takimi. Możemy im powiedzieć:

patrzcie na siebie samych, wy, którym o tyle lżej tu na ziemi. Mnie dosyć szczęścia i bolu własnego!

PRZEOR: Nie lżą oni. Podziwiają. Czczą. Patrz, jak idą do tego Ja potężnego, tych wielu, którym My na imię, by służyć mu, niezmordowanie być na usługi...

LORENZO: Choć widoczny egoizm jego...

PRZEOR: Choć nie odwięcza się za usłużność i jak coś należnego przyjmuje...

LORENZO: Pradziad mój, Cosimo... znałem go jeszcze... mądrym i zimnym był tyranem... obdarzyli go mianem: Ojca ojczyzny. Przyjął z uśmiechem, nie dziękował nawet. Nigdy tego nie zapomnę! Pomyślałem — jakże on musi gardzić nimi. I gardzę odtąd tym ludem.

PRZEOR: Szkołą pogardy jest sława.

LORENZO: Źródłem jej brak godności osobistej u tłumu! Tacy biedni oni, tacy jałowi, tak zapominający o sobie samych...

PRZEOR: Tak łatwi do opanowania...

LORENZO: Nie znają nic lepszego, jak służyć...

PRZEOR: Piszą do mnie ze wszystkich krańców świata, przychodzą zdala kraj szaty mej całować, na wszystkie strony głoszą moją sławę... Czyż prosiłem ich o to, i dziękuję kiedy?

LORENZO: Zdumiewające!

PRZEOR: Wprost zdumiewające! Człowiek myśli, czyż wy tacy marni, tacy bezduszni, że nic wyższego nie znacie jak służyć?

LORENZO: Tak, tak! Oczom swoim się nie wierzy, że korzą się tak chętnie—i cieszy z tego.

PRZEOR: Śmiać się chce z uległości tego świata...

LORENZO: I z śmiechem brać go do ręki, by grać jak na podatnym instrumencie...

PRZEOR: Grać samego siebie!

LORENZO (gorączkowo): O sny moje! Sztuko i potęgo! Lutnią była mi Florencya... czyż nie brzmiała pięknie? Brzmiała dźwiękiem tęsknoty mojej. O pięknie śpiewała, o wielkiej rozkoszy, śpiewała potężną pieśń życia!...—Cyt! Na kolana!... Tam!... Widzę ją!... Idzie, idzie do mnie... opadają zasłony i krew ma rwie się do jej nagości! O szczęście! O lęku pełen słodyczy! Jamże wybrany oglądać cię, Venus genetrix—ty, która życiem jesteś, słodyczą świata... Pięknością twórczą... sztuką! Venus Fiorenza! Wieszże ty, czego pragnąłem? Wiecznego wesela — to było wolą moją!... O! Zostań! Czemuż uciekasz, czemuż znikasz? Nic już nie widzę... czerwone fale... wstaje przerażenie... otwiera chciwą paszczę... (opadając). Jesteś tu jeszcze

ty, z którym — zrozumieliśmy się? Mów do mnie!... Straszno mi... straszno... Volterra!... krew!... Łupiłem kasy posagowe, bezcześciłem dziewice... Mów prędko! Mów! Jakie są warunki łaski...

PRZEOR (przy nim, prędko, cichym głosem): Misericordiam volo... Trzy ich jest. Po pierwsze: żal...

LORENZO (taksamo): Żałuję splądrowania Volterry i zrabowania pieniędzy...

PRZEOR: Po drugie: zwrócić musisz państwu dobro niesprawiedliwie nabyte...

LORENZO: Mój syn zwróci... Dalej...

PRZEOR (strasznym szeptem, gestem rozkazującym): Po trzecie: oswobodzisz Florencyę... natychmiast... raz na zawsze... oswobodzisz ją z pod rządów domu Twego!

LORENZO (również cichym głosem. Tajna namiętna rozprawa obu wrogów): Oswobodzić, dla Ciebie!—

PRZEOR: Dla króla, który na krzyżu skonał.

LORENZO: Dla ciebie! dla ciebie! Czego kłamiesz? Poznaliśmy się dobrze!... Fiorenza miasto moje: Kochaszże ty ją? Mów prędko! Kochasz?

PRZEOR: Głupi! Dziecinny! W grób się połóż z dziecinnymi pojęciami swymi! Miłość gwałtowna, słodka, namiętna nienawiść—jam labiryntem tym, a on chce, bym został panem Florencyi!

LORENZO: Pocóż—nieszczęsny?! Czego pragnąć możesz?!

PRZEOR: Wiecznego pokoju. Tryumfu ducha. Zdruzgotać chcę te wielkie skrzydła...

LORENZO (z bolem i rozpaczą): Nie uczynisz tego!.... Nędzniku!... Zabraniam Ci, ja Magnifiko!... O! poznałem Cię teraz, zdradziłeś się! To skrzydła życia, o których ty mówisz! Śmierć jest duchem tym, którego zwiastujesz, a życiem życia jest sztuka!... Nie pozwolę Ci! Jeszczem tu panem!...

PRZEOR: Drwię z Ciebie. Umierasz a ja zostaję. Moja sztuka zyskała mi lud cały! Florencya moja.

LORENZO (w paroksyzmie): Potworze! Zły potworze! A więc zobaczysz mnie silnym i bezwzględnym! (dźwiga się z krzykiem z fotelu opierając się obu rękami o poręcze) Do mnie! do mnie! Bywajcie! Chwytać go! Wiązać! Zdruzgotać chce wielkie skrzydła! Do lochu z nim, w łańcuchy! Do lwiej jamy! Zabić tego, który wszystko chce zgładzić! Florencyę moją.... Florencyę.... Florencyę!

(Opada. Głowa chyli się w tył. Oczy stają w słup a ramiona usiłują objąć po raz ostatni. Kilku ze służby weszło do komnaty z woskowymi pochodniami z przodu z p awej i z ga-

leryi. Scena oświecona nagle migotliwem światłem. Po stopniach przybiegają z przerażeniem Pico, Ficino, Poliziano, Pulci, Pierleoni i Artyści)

PICO: Lorenzo!

PIERLEONI: Skończył.

POLIZIANO (z rozpaczą): Lauro! Mój Lauro!

(Nowe poruszenie na galeryi. Czterech, czy pięciu ludzi kurzem okrytych przeciska się w pośpiechu).

JEDEN Z NICH: Słuchajcie! słuchajcie! Szlą nas dostojni i szlachetni Signori! Bunt w mieście! Rozgłoszono, że prorok Girolamo zdradzony, pojmany i zabity... Lud wyruszył do Careggi. Chce widzieć brata...

PRZEOR (patrząc na trupa swego przeciwnika): Oto jestem.

FIORE (w dziwnem świetle, u szczytu schodów): Słyszysz mnie, mnichu?

PRZEOR (wyprostowany, nie odwracając się): Słyszę —

FIORE: Słuchaj więc! Wstrzymaj się! Ogień, który wzniecasz, pożre samego Ciebie, by oczyścić Cię a świat od Ciebie. Jeśli ci straszno—cofnij się! Przestań chcieć, jeśli chcieć masz nicości. Wyrzeknij się potęgi! Wyrzeknij się! Zostań dalej mnichem!

PRZEOR: Ogień to żywioł mój.

(Obraca się. Wszyscy rozstępują się trwożliwie, zostawiając mu wolne przejście. I w blasku pochodni odchodzi zwolna, w dal, w górę, ku swemu przeznaczeniu.) —

BIBLIOTEKA PUBLICZNA M. ST. WARSZAWY 1907
Nr. inw. Z 1422